TOWARZYSZCE ŻYCIA, NIEWIEŚCIE, BRATERSTWO I OBYWATELSTWO, RÓWNE WE WSZYSTKIM PRAWA

Adam Mickiewicz

BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

KAMENA

DWUTYGODNIK • LITERACKI

LUBLIN

29.II.1960

Nr 4 (194)

ROK XXVII

CENA 2 ZŁ

W NUMERZE: Wybitne lublinianki • O Franciszce Arnsztajnowej • Ze wspomnień Kazimiery Iłłakowiczówny • Kobiety w oczach kobiet • „Proszę mnie poratować..." • Zbuntowany Cyd • Rozważania o kobiecie • James Dean i choroba wieku • I in.

FRANCISZKA ARNSZTAJNOWA

*
* *

I

Głęboko, głęboko, w ziemi, gdzie kości nasze próchnieją,
słyszymy, gdy przychodzicie z jasnych sztandarów rozwieją.
Słyszymy mowy i apel. Przyłóżcie ucho do ziemi,
krwią naszą przesiąkłej młodą, kośćmi zasianej naszymi.
Wsłuchajcie się w głos jej ostry jak świst pocisków armatnich,
za nieme usta żołnierskie da odzew na apel bratni.

II

Którzyśmy na śmierć poszli, by Polska zmartwychwstała,
którzyśmy Niepodległą wam spadkiem przekazali,
was, wszystkiego dziedziców, was, żywych, dziś pytamy,
czyście nasz krwią serdeczną napisany testament
już wykonali?
Czy Polska jest już wielka, czy jest już pełna mocy?
Czy jest już taka, jaką widziały nasze oczy,
zanim zgasły na wieki, objawioną na chmurze
dymów pobojowiska, jak w słońcu i purpurze
w aureoli kroczy?

(Antologia współczesnych poetów lubelskich, Lublin 1939)

Z wystawy grafiki włoskiej w Muzeum Lubelskim

Ernesto Treccani — Wiec. Akwaforta

HELENA PLATTA

Pokój ludziom

Z tego okna za firanką — słyszę skrzypce.
Z tamtych drzwi oszklonych — fortepianu brzęk.
Biegną szybko rytmy — września, lipca,
cichnie ruin sypki szum.
Obręcz nocy toczy się za dnia obręczą,
patrzę wkoło: — Ależ bieg! —
Kiedyś czas pośpiechem tak nie pęczniał,
dziś —
nie zdążę nabrać tchu!
Zachłyśnięcie muzyką i — rytmem,
oczom — pejzaż wirujących linii, barw,
lecz na moment ustać w tej gonitwie
to spod ściany — czasem pełznie: strach.
Swe czerwone oczy — z pustych okien,
na ulicę wytrzeszcza
i drży...
resztki ruin zarasta niepokój.
Serce bije. Słuchaj. —
— Oto zaraz znowu będzie wiosna:
w parkach posrebrniały pęki wierzb,
a od pól na szczudłach wiatr już stąpa
i w stulonych dłoniach niesie deszcz.
Z deszczu — śmiech dziecinny, zdrowy, świeży,
i znów — skrzypce i taneczny pląs...
— Zegar bije na Krakowskiej wieży
Słuchaj:
serce bije.

Lublin, 23.II.1960.

1910 | 1960

ANNA KAMIEŃSKA

*
* *

Kocham cię, wielkie życie, i pragnę objąć myślą —
Od kropli pierwszej kąpieli, w której mieni się przyszłość,
Do stuku ostatniej grudy, gdy rzuca ją obca ręka.
Od pierwszej cyfry poznania, przed którą człowiek klęka,
Do wielkiej syntezy, co lśni jak gwiazda w nocy popiele
I w żmudnych wzorach chemii drzemie jak żądło pszczele.
Od prostej wiedzy o deszczu pluczącym piasku ziarna —
O ciepłym tchnieniu miłości, kiedy ciało ogarnia,
Do trudnej wiedzy walki, do trudnej wiedzy męstwa.
Dla ciebie, synku mały, świat jest jak puszcza gęsta,
Lecz dla mędrca — jak dłoń jest do wróżenia otwarta,
Gdzie się rysuje dziejów geograficzna karta.
Tu dziecko gryzie owoc, tam czeka na śmierć skazany.
Wiedzą ciebie obejmę, świecie krwią obryzgany.
Sercem cię nie zrozumiem, serca wieczne zdumienie,
Wiedzą ciebie zrozumiem, miłością ciebie zmienię.

(„Bicie serca", 1954)

DZIEŃ 8 marca stał się już tradycyjną okazją do mówienia o kobietach, ich osiągnięciach, życiu codziennym, problemach, radościach i smutkach. Tegoroczny 8 marca ma, jak wiadomo, charakter potrójnego święta, bo oprócz tego, że jest on Międzynarodowym Dniem Kobiet, jednocześnie obchodzić będziemy w tym dniu piętnastą rocznicę istnienia Ligi Kobiet i pięćdziesiątą rocznicę Światowej Federacji Kobiet. Jest rzeczą jasną, że w takich okolicznościach „Kamena" nie może zapomnieć o lubliniankach. A więc wywiad. I tu wyłonił się poważny kłopot.. Okazało się bowiem, że w Lublinie żyje i działa tyle kobiet, które mają poważne osiągnięcia na polu nauki, oświaty, życia kulturalnego, medycyny, prawa, działalności politycznej, społecznej, gospodarczej, w dziedzinie sztuki itp., że nie sposób opowiedzieć o każdej z nich, choć opowiadać naprawdę jest co.

Lecz gdy nie możemy mówić o wszystkich, czyż mamy nie wymieniać nikogo?

LUBLINIANKI

* * *

Panią Wandę Papiewską zastaję w jej mieszkaniu pełnym pamiątek przeszłości. Rodzinne fotografie, wspomnienia, książki i egzemplarze dawnych czasopism — to wszystko stanowi niemały zbiór dokumentów historii ruchu robotniczego i rozwoju Lubelskiej Spółdzielni Spożywców. Zresztą sama pani Wanda Papiewska jest przecież żywą historią LSS.

Od osiemnastego roku życia — opowiada — działam w ruchu robotniczym. W latach tysiąc dziewięćset czwartym-piątym byłam „dromaderką", to znaczy przenosiłam na sobie nielegalną bibułę w służbie PPS, wygłaszałam pogadanki dla robotnic, obsługiwałam tajną drukarnię. Aresztowano mnie w 1907 r. Po wyjściu z więzienia, gdy okazało się, że nadzieje na natychmiastowe odzyskanie niepodległości Polski zawiodły, zainteresowałam się ruchem spółdzielczym. Dla nas, wówczas, sklepy nie były celem samym w sobie, ale środkiem wychowawczym: chodziło nam o to, by człowiek mógł stać się lepszy i nauczył się nie tylko gospodarować, ale żyć we wspólnocie — by mógł wyzbyć się egoizmu, sobkostwa.

Z kolei rozmowa schodzi na młodzież, która tak wiele miejsca zajmuje w sercu pani Wandy Papiewskiej.

— Chciałabym, żeby młodzi zrozumieli, że świat się ciągle zmienia i trzeba go doskonalić. Świat i samych siebie — na tym właśnie polega sens i cel życia. Wartość moralna człowieka-działacza jest sprawą decydującą. W wychowaniu innych nie pomogą piękne słowa. Najlepszym przykładem wychowawczym jest przykład własnego życia.

* * *

Imię pani Kazimiery Gawareckiej jest dla lubliniaków nieodłącznie związane z dziejami Biblioteki im. H. Łopacińskiego oraz Archiwum Miejskiego, a potem Wojewódzkiego.

— Od sierpnia 1923 r. — opowiada pani Gawarecka — zaczęłam pracować w Bibliotece. Mieściła się ona wówczas w Trybunale i działała w bardzo trudnych warunkach. Była uboga. Oprócz mnie pracowała jeszcze jedna pani, wówczas już bardzo posunięta w latach, która, mówiąc między nami, pojęcia nie miała o pracy bibliotekarskiej. Toteż często musiałam pracować za nas obie (np. większość kart katalogu dziesiętnego znajdującego się obecnie w Bibliotece pisana jest moją ręką). A jednak miło wspominam te początki. Do Biblioteki przychodziło wówczas dużo młodzieży szkolnej. Moimi czytelnikami z tamtych czasów są między innymi: Paweł Dąbek i Stanisław Krzykała. Wojna zastała Bibliotekę w nowym gmachu. 12 grudnia 1939 r. Niemcy zamknęli ją. Na różne sposoby starałam się do niej dostać. Udało mi się wynieść niektóre cenne książki, jak: Wydawnictwa Tyszkiewicza z Florencji, różne wydawnictwa encyklopedyczne itp. W 41 r. zaczęłam pracę w Archiwum Miejskim i tak ją pokochałam, że po Wyzwoleniu nie mogłam się z nią rozstać. Początkowo dzieliłam swój czas między Bibliotekę i Archiwum. Wkrótce jednak zabrakło mi sił. Pozostałam w Archiwum.

* * *

Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej. Zakład Zespołowej Mikrobiologii Ogólnej. Kierownikiem Katedry jest profesor zwyczajny, doktor nauk i członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk Jadwiga Ziemięcka. Niełatwo znaleźć drugiego człowieka, który prowadziłby tak czynny i pracowity żywot, jak pani profesor. Praca na uczelni — to zaledwie drobny fragment jej działalności, kryjący się pod umownym kryptonimem „Lublin". Jest jeszcze drugi: „Puławy". Tutaj prof. Ziemięcka jest kierownikiem działu Mikrobiologii Rolniczej Instytutu Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa, członkiem Prezydium Rady Naukowej IUNG i przewodniczącą Komisji Kwalifikacyjnej Pracowników Naukowych IUNG. Nie koniec na tym. Pozostaje jeszcze „Warszawa", bo prof. Ziemięcka jest także członkiem Wydziału Nauk Biologicznych PAN i członkiem Wydziału Nauk Rolniczych PAN, członkiem Komisji Mikrobiologicznej PAN, członkiem Komisji Gleboznawczej i Chemii Rolnej PAN, przewodniczącą Komisji Redakcyjnej wydawnictwa „Acta Microbiologica Polonica", członkiem Komisji Redakcyjnej Ogólnobiologicznego Słownika Terminologicznego, członkiem Komisji Mikrobiologii Gleby w Międzynarodowym Towarzystwie Gleboznawczym, doradcą dla wyrobu „Nitraginy" (szczepionka bakteryjna dla gleby) przy Ministerstwie Rolnictwa.

Do tego dochodzą jeszcze wyjazdy w celach naukowych za granicę. No i oczywiście własna praca badawcza nad Rhizobium, która imię prof. Ziemięckiej rozsławiła na cały świat.

Tak, tutaj możemy poprzestać na „suchym" wykazie zajęć. Jest on chyba dosyć wymowny.

* * *

Prof. dr Irenę Sławińską znają nie tylko studenci polonistyki KUL. Jako autorka prac „Tragedia w epoce Młodej Polski", „O Norwidzie pięć studiów", „O komediach Norwida" oraz szeregu artykułów znana jest w ogóle ludziom interesującym się literaturą. Dorobek prof. Sławińskiej to 37 prac naukowych ogłoszonych drukiem. W najbliższych dniach, na półkach księgarskich ukaże się wydany ku wielkiej radości zainteresowanych przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie — „Sceniczny gest poety".

Prof. dr Irena Sławińska poprzedni rok akademicki spędziła w Stanach Zjednoczonych korzystając ze stypendium Forda. Przebywała kolejno w Yale University - New Haven, w Minneapolis oraz w Berkeley (Kalifornia), prowadząc wszędzie studia związane z metodologią badań literackich oraz wygłaszając wykłady o teatrze polskim.

— A co Pani sądzi o pracy naukowej kobiet?

— Moje poglądy są może nieco przestarzałe, ale potwierdza je ciągle życie. Otóż uważam, że albo praca naukowa, albo dom, dzieci, rodzina czyli tzw. „życie osobiste". W warunkach, w jakich żyjemy, o ile oczywiście ktoś nie ma babci, która zechciałaby się poświęcić i zająć wnukami, sprawunkami, gotowaniem, sprzątaniem itd., te dwie dziedziny życia nie dadzą się pogodzić. Bo przecież praca naukowa to nie 8 godzin dziennie, tylko bardzo często co najmniej dwa razy tyle.

— A jeszcze jedno pytanie: co w literaturze najbardziej pasjonuje Panią?

— Teatr.

* * *

Zajrzyjmy właśnie do lubelskiego Teatru.

Pani Zofia Modrzewska jest już od wielu lat aktorką i reżyserem.

— Reżyserem stałam się właściwie przez... przyjaźń — opowiada. — Chciałam po prostu pomóc mojej przyjaciółce Marii Morozowicz-Szczepkowskiej i wyreżyserowałam jej sztukę „Sprawa Moniki", której, pomimo jej niewątpliwej dużej wartości artystycznej, nie chciał wystawić wówczas żaden teatr. Za zgodą Osterwy wystawiłyśmy „Sprawę Moniki" w Reducie. Z miejsca odniosła ogromny sukces, a ja już nigdy więcej nie występowałam jako aktorka — zostałam reżyserem.

— Jak Pani sądzi, czy do pracy reżyserskiej lepiej nadają się mężczyźni czy kobiety?

— Płeć nie odgrywa tu roli. Reżyser musi odczuć zarówno duszę kobiety, jak i mężczyzny...

Reżyser musi być dobrym psychologiem, mieć opanowane rzemiosło aktorskie, musi posiadać fantazję malarską, dobry słuch umiejący rozróżnić prawdziwe brzmienie od fałszywego i... i w ogóle to praca bardzo skomplikowana.

Chcieliśmy jeszcze zapytać o problemy pracy aktorskiej znaną w Lublinie panią Eleonorę Frenkiel-Ossowską, ale była tak zajęta , że nie mieliśmy odwagi przeszkadzać.

(Dokończenie na str. 6)

LUBELSKIE WĘDRÓWKI W CZASIE

O Franciszce Arnsztajnowej

ROMAN ROSIAK

Lubelszczyzna —. „krajobraz najpiękniejszy pod słońcem" — jak pisał Stefan Żeromski — to ziemia szczególnie urodzajna. Ale nie tylko dobre gleby i bogate plony zapewniły jej uzasadnioną sławę i spowodowały to, że przez wieki nosiła ona nazwę „spichlerza Polski". Ziemia Lubelska jest także matką wielu wybitnych ludzi, którzy położyli duże zasługi na polu naszej kultury. Wśród nich nie zabrakło także i kobiet. Szczególnie dotyczy to literatury pięknej.

Już w XVIII wieku w Puławach spotykamy się z nazwiskami kobiet, które dzisiaj może są mniej znane, ale dawniej, zwłaszcza w okresie romantyzmu, były bardzo popularne. Wystarczy wymienić chociażby Izabellę z Flemingów Czartoryską (1746—1835) czy Marię ks. Wirtemberską (1768—1854) — autorkę „Malwiny". Warto także przypomnieć nazwisko Klementyny z Tańskich - Hoffmanowej (1798—1845) — autorki licznych utworów dla młodzieży, redaktorki czasopisma wydawanego w Puławach pt. „Skarbiec dla dzieci". Do bardzo popularnych w swoim czasie należała także Anna z Krajewskich Nakwaska (1781—1851) — powieściopisarka z Gołębia. Specjalne miejsce należy się natomiast Zofii Ścisłowskiej (1812—1873), która napisała szereg powieści o tematyce historycznej i obyczajowej, a także wiele utworów poświęciła dzieciom. Jej to zasługą jest wydanie pierwszego dla młodzieży przewodnika po naszym mieście pt. „Przechadzka po Lublinie". Największe znaczenie ma jednak wydawany przez nią w latach 1845—1846 „Fiołek Noworocznik Lubelski". Z pewnością na pamięć zasługuje także Zofia Kowerska (1848—1929) — powieściopisarka, autorka prac pedagogicznych i etnograficznych o problematyce regionalnej, mieszkająca w Józefowie Lubelskim.

Z Lublinem związana była także Narcyza Żmichowska (1819—1876), najwybitniejsza przedstawicielka „entuzjastek". Choć w mniejszym stopniu, jednak związana była także z Lubelszczyzną Jadwiga Łuszczewska-Deotyma (1834—1908), podobnie zresztą jak popularna dziennikarka z Opola Lubelskiego — R. Rzewuska, Seweryna Pruszakowa-Duchińska, a poniekąd Gabriela Zapolska. O związku z Lubelszczyzną można mówić także przy twórczości Marii Konopnickiej, biorąc pod uwagę jej kilkumiesięczny pobyt w Lublinie w 1893 roku i reminiscencje lubelskie w jej twórczości. Nie można także zapomnieć o Faustynie Morzyckiej, zasłużonej działaczce społecznej i autorce wielu popularnych utworów przeznaczonych zwłaszcza dla młodzieży i ludu wiejskiego.

Już sama liczba zasygnalizowanych nazwisk świadczy wymownie o wielkiej roli kobiet w literaturze lubelskiej. A wymieniliśmy tylko nazwiska pisarek nieżyjących.

Najwybitniejszą poetką lubelską była niewątpliwie Franciszka Arnsztajnowa (1865—1943), której sylwetkę kreślimy w 95 rocznicę jej urodzin.

*

Z pyłu i słońca ulepię światy,
Styl — niby lubelskiej izby,
A potem zbiorę mój plon bogaty
I na wiatr rzucę go z przyzby.

Franciszka Arnsztajnowa urodziła się 19 lutego 1865 roku w Lublinie, w rodzinie inteligenckiej. Przyszła na świat zaledwie w dwa lata po upadku powstania styczniowego, kiedy rozpoczynał się proces deklasowania szlachty i do głosu dochodził pozytywizm. Od pierwszych chwil swego życia obracała się w środowisku ludzi wykształconych matka jej, Karolina Meyersonowa, była powieściopisarką, brat zaś matki — Emil Meyerson — był jednym z wybitniejszych filozofów w ówczesnych czasach, mąż natomiast Arnsztajnowej (wyszła za mąż w 1885 r.) — bardzo znanym lekarzem, a w latach późniejszych pisał wspólnie z Konradem Bielskim słynne „Szopki", stanowiące ciętą satyrę na lubelskie mieszczaństwo w okresie XX-lecia. Po ukończeniu szkoły średniej w Lublinie, gdzie po raz pierwszy zetknęła się z pracą konspiracyjną, podobnie jak nieco później od niej Andrzej Strug, studiowała Arnsztajnowa w Niemczech nauki przyrodnicze. Zainteresowania jej jednak poszły w innym kierunku, w roku bowiem 1888 wydrukowała na łamach „Kuriera Codziennego" pierwszy swój wiersz pt. „Na okręcie". Od tego momentu nazwisko jej zaczęło się pojawiać na łamach najpopularniejszych pism polskich, jak: „Głos", „Ateneum", "Tygodnik Ilustrowany", „Przegląd Tygodniowy", „Sfinks", „Kłosy", „Życie" (krakowskie i warszawskie), „Wędrowiec", „Kurier Polski" i in. Dużo wierszy publikuje także w „Kalendarzu Lubelskim". Wreszcie w 1895 r. wydaje pierwszy swój tomik zatytułowany „Poezje". Daje się tutaj poznać jako poetka, która ulega wyraźnie manierom Młodej Polski i jest skłonna nawet może do nadmiernego sentymentalizmu, ale już w pierwszych jej utworach widać pewne zainteresowania dla problematyki społecznej. Wacław Wolski pisze w 1902 r. na ten temat w ten sposób:

„Pani F. Arnsztajnowa, już przede wszystkim jako kobieta, jest geniuszem życia, urodzoną społecznicą, „córką ziemi". (...)

Widocznym jest, że pani Arnsztajnowa chce być poetką zdrową, kochającą życie i ludzi, poetką nawet o pewnym zakroju społecznym".

W pierwszym tomie poezji problematyka społeczna jest jednakże zarysowana w bardzo subtelny sposób, można powiedzieć — sielankowo-refleksyjny, liryczny. Nie ma tu jeszcze cienia buntu, nie pozwala na to ani sztuczna forma młodopolskiego wiersza, ani też ideologia młodej, debiutującej dopiero poetki. Ten społeczny ton odezwie się już znacznie silniej w serii drugiej „Poezji" wydanych w 1889 r. W dalszym jednak ciągu ludowość poezji Arnsztajnowej będzie połowiczna. Poetka będzie się starała o coraz wyraźniejsze pozbywanie się manier młodopolskich, o prostotę stylu, szczerość uczuć, ale nie będzie mogła zdobyć się na jakiś radykalniejszy ton.

Na to, by doczekać się śmiałych, żywiołowych i pełnych siły wezwań poetki do czynu — trzeba było dopiero 1924 r., w którym wydany został jej tomik „Archanioł Jutra". Tutaj też dała się poznać poetka jako gorąca patriotka i miłośniczka Ziemi Lubelskiej.

W okresie XX-lecia Arnsztajnowa zamieściła szereg wierszy w czasopismach regionalnych, jak „Kurier Lubelski", „Ziemia Lubelska", i „Dziennik Lubelski", a także w ogólnopolskich — z „Pionem", „Rządem i Wojskiem" i „Anteną Poetów" na czele. Zajmowała się także publicystyką literacką, brała czynny udział w organizowaniu życia kulturalnego w naszym mieście. W 1926 r. redagowała „Dodatek literacki" do „Ziemi Lubelskiej", zaś w 1933 należała do założycieli Związku Literatów w Lublinie. W tym też czasie wydała dwa tomy poezji: „Odloty" (1932) i — wspólnie z Czechowiczem — „Stare kamienie" (1934).

W twórczości swojej nawiązuje Arnsztajnowa do najpiękniejszych tradycji poezji polskiej. Można spotkać u niej wiersze pisane pod wyraźnym wpływem Kochanowskiego, Mickiewicza, Słowackiego, Lenartowicza, Konopnickiej, Asnyka, Tetmajera czy Kasprowicza. Jej dorobek tak ocenia prof. F. Araszkiewicz:

„... twórczość Fr. Arnsztajnowej należy zasadniczo do epoki zwanej w literaturze Młodą Polską; talent skromny, szczery, prosty i naturalny, dusza marzycielska, skłonna do refleksji i zadumy, serce gorące, zdolne do głębokich wzruszeń osobistych, religijnych i patriotycznych; wbrew wrodzonemu indywidualizmowi chętnie poddaje się poetka prądowi społecznemu w imię szczytnych ideałów, miłując przede wszystkim przyrodę wiejską, lud, młodzież i dzieci. Jako artystka — odznacza się Arnsztajnowa dbałością o wykwintną formę poetyckiego słowa,

(Dokończenie na str. 7)

Dżoja w Polsce

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

Nazywała się Joy, co znaczy — radość, i zdawałoby się, że do radości los ją przeznaczył: córka właściciela kopalni węgla w Anglii, panna o znacznym posagu, posiadająca poza nieruchomościami w Londynie jeszcze pokaźne strzępy własności w Afryce i Australii, żona młodego polskiego dyplomaty — czegóż więcej, zdawałoby się, potrzeba do szczęścia kobiecie. Żyli ze sobą sześć lat. Umarła przy którejś z prób, by przetrzymać ciążę, w poczuciu obowiązku urodzenia dziedzica dla licznych domostw i włości rodzinnych męża w Polsce. Poważne niedomaganie ten właśnie wyczyn jej uniemożliwiało. Nie chcąc się z tym pogodzić, uległa klęsce w 28 roku życia. Umierała przytomnie i odważnie, tak jak przytomnie i odważnie żyła. Protestanckim obyczajem angielska rodzina spaliła jej zwłoki w berlińskim krematorium, a proch rozsiała w ojczystej Anglii na gruncie obsadzonym kwiatami.

W dalszej rodzinie męża wzniecała popłoch przez proste, nie z polska, otwarte wypowiedzi. Nie mogła np. zrozumieć, czemu zamożni krewni męża raz po raz zjeżdżali do jego — a więc i jej — domu, zamiast ulokować się w hotelu. Jak bym ją słyszała rozmawiającą żywo i głośno przez międzymiastową:

— Kto? Kto? Ile was będzie?

A tuż potem:

— Na jak długo? Czy na dłużej? Na tydzień?

Robiłam znaki ostrzegawcze, groziłam palcem, potem całą pięścią. Zwracała ku mnie okrągłe ze zdziwienia oczy i gniewną różową twarz, zakrywając dłonią słuchawkę.

— Co takiego? Czego chcesz?

— Tak nie można, Joy. Oni się obrażą. Powiedz, że ich oczekujesz i tyle.

Powtarzała nadąsana do słuchawki:

— Więc oczekuję w środę cztery osoby. *Good bye!*

Potem utyskiwała boleśnie:

— I po co to? Znowu tyle prześcieradeł... Ciekawam, do czego u was służą hotele!

Śmiałam się objaśniając najprzystępniej tajniki polskiej gościnności, istotnie trochę wschodniej.

Nie mogła spokojnie patrzeć na nieład, na bezstylowy tryb życia czy umeblowania, czy wreszcie gospodarki. Myszkowała po wszystkich zakamarkach licznych mężowskich domostw i — łamiąc najświętsze tradycje familijne — korygowała, prostowała styl pokoi.

— To co, że jakaś ciotka sto lat temu siadywała właśnie na tym fotelu! Przecież to od innego kompletu... A tamto biurko jest w ogóle bez stylu i w dodatku spróchniałe, więc nadaje się tylko do spalenia.

Podnosił się wielogłosowy gwałt rodzinny, toteż Joy usiłowała znaleźć wyjście kompromisowe:

— Więc dobrze. Powiedzcie mi, co było czyje, a ja poskładam z tego wszystkiego osobne komplety muzealne, mniejsze przedmioty dam do gablotek z napisami. Ale jeśli te tutaj stare pantofle nie należały ani do Wincentego, ani do Zygmunta, a tamta szarfa do Elizy czy Delfiny, to pozwólcie mi je wyrzucić albo spalić, bo z takiej starzyzny lęgną się mole i powstaje kurz.

Nie tylko wydała istną wojnę wszelkim starym gratom i łachom nie będącym relikwiami, ale w każdym z domostw mieszkalnych rozbudowywała kanalizację, wstawiała wanny, prześwidrowywała najczcigodniejsze mury, by przeprowadzić kable elektryczne. Nikt już odtąd nie potrzebował wołać wniebogłosy o wodę czy śniadanie.

Wielkim dylematem były zrazu stosunki z niezmiernie liczną służbą, konsystującą od lat wielu w patriarchalnym porozumieniu z chlebodawcami, bez jakiejś specjalnej wszelako tresury.

— Oni wszyscy kłamią — wołała zaperzona Joy. — Ja z nimi nie mogę!

— Moja droga — usiłowałam bronić — to w gruncie rzeczy nie kłamstwa, tylko rodzaj szyfru, który należy właściwie odczytać.

— Ale dlaczego? Po co?

— Raz, że u nas tak jest od wieków przyjęte: wielu rzeczy nie wypada powiedzieć prosto i wprost. Sugeruje się je, daje do zrozumienia. Poza tym, ty ich przerażasz, zaskakujesz. Boją się ciebie i twojej bezpośredniości.

Sprowadziła do trenowania i nadzoru nad tym licznym sztabem Anglika majordomusa, nieskazitelnego prawdomówcę Buckle'a, sprytnego starego drania, który zorientował się w nieco złożonym wschodnim polskim trybie daleko szybciej niż Joy, łatwo uzyskał ogólny posłuch i cieszył się wraz z panną służącą, również Angielką, żelaznym zaufaniem swej chlebodawczyni. Powsadzał służących w liberie, a od święta — w czerwone fraki i białe pończochy. Był przez dwa lata wszechwładny.

Niestety, po dwóch latach okazało się, że przez cały ten czas miał — i to w domu, pod dachem Joy — utrzymankę Francuzkę, którą żywił z pierwszego stołu i z którą uczęszczał do operetki i nocnych lokali. Cała podwładna mu polska służba dyskretnie o tym milczała, aż rzecz się jakoś wykryła sama.

Joy płakała ze złości i upokorzenia. Buckle'a i pannę służącą zastąpili Feliks i Michalinka, rdzenni tuziemcy, niezdolni do absolutnej, brutalnej prawdomówności brytyjskiej, ale po prostu uczciwi. Joy nauczyła się rozumieć ich szyfr, a oni przywykli do niej i przestali się przed nią płoszyć, zwłaszcza że już mówiła do nich po polsku.

Była to naturalnie polszczyzna nie z tej ziemi i Joy nieraz szukała pomocy i rady, gdy własne słowa jej nie dopisywały.

— Powiedz, jak wyrazić stolarzowi po polsku niezadowolenie, ale mocno, nieprzyjemnie, tak żeby się obraził?

— Ależ, Joy, to się nie da zrobić.

— Kiedy on mi nie dotrzymał słowa.

— To trudno. U nas można obrażać tylko sobie towarzysko równych, ludzi własnej oraz wyższej rangi. Innych — nie.

— Przecież taki rzemieślnik to człowiek niezależny tak jak ja.

— Może w Anglii. U nas panuje społeczna nierówność i stolarz należy do sfery niższej niż ty. Możesz mu cofnąć obstalunki, zaskarżyć do sądu, ale nie wolno ci go obrażać. Za niegrzeczny list mógłby wytoczyć proces, i na pewno go wygra.

Nie mogła patrzeć bezczynnie na nędzę dzieci w słynnych annopolskich barakach. Ona pierwsza stworzyła tam ośrodek i posłała doń siostrę zakonną i ochroniarkę, które się zresztą niebawem pobiły. Nie mogła znieść nędzy bezrobotnych pomniejszych artystów, założyła więc sklep przedmiotów sztuki stosowanej. Modele przywoziła ze świata. Brzydota ozdób wnętrz u nas doprowadzała ją do szału, zaczęto wyrabiać specjalnie dla niej abażury, ochraniacze do książek, lichtarze, wazony, sztuczne kwiaty... Joy biegała do dyrektorów fabryk, starając się nawrócić ich na lepszy gust, pokazywała próbki, rysunki, modele... Gdyby dłużej była żyła, natrafiłaby z pewnością na normalniejszą drogę, na stary, czysto polski nurt zagłuszony przez zły smak tandety...

Lubiłam jej pasję tworzenia i przetwarzania. Wszystko dokoła niej ulepszało się nieustannie. Ku zgrozie ciotek starała się np. zbyt wysokie „komnaty", bo trudno było nazwać to pokojami, obniżać do bardziej przytulnego rozmiaru, dając — przypuśćmy — złoty sufit, sięgający ku dołowi aż do nisko pociągniętego na ścianie szlaku. Próbowała przy tym nowych barw, nowych zestawień dekoracyjnych...

Do każdej powojennej ruiny przymierzała się usiłując ją dźwignąć.

— Dlaczego ta kaplica (zamek był spalony i Joy postawiła na jego miejscu dom) ma stać w ruinie? Zróbmy z niej pokój bilardowy. Wywoływało to głębokie zgorszenie, niewczesne zresztą, bo i tak Joy nie żyła dość długo, by popełnić to *sacrilegium*...

Próbowała wzruszająco dostosować się do polskiego skomplikowanego obyczaju, co się jej zabawnie bardzo nie udawało. Więc mówiła, dajmy na to:

— Przyjedź do nas koniecznie latem, jak będziesz w okolicy Tarnowa — bo ją nauczono, że przy rozstaniu należy zawsze w jakiejś formie zaprosić przyjaciół do siebie, co nie oznacza wcale zobowiązującego zaproszenia, tylko nie wiążącą grzeczność — ale przyjedź naprawdę, bo i naprawdę ciebie zapraszam, nie tylko dla obyczaju.

(Dokończenie na str. 5)

FLORA

IRENA PARANDOWSKA

Nie ma prawie domu, który by nie utwierdził się w złośliwości martwych przedmiotów. Potrafią one w swojej ciągłości zatruć życie całemu otoczeniu. Są nieustępliwe. Mają swoje żądania i wymagania. Są natrętne, znikają, wracają i znowu gubią się.

— Dopiero — przed sekundą — miałam nożyczki w ręku, cały ten pas pocięłam nimi. Nie ma ich na stole, pod stołem, na krześle, pod materiałem, rozstąp się ziemia!

Szukają starsi, szukają dzieci, pomoc domowa. Wchodzi sąsiad. Wszyscy schyleni szukają. Trzepią dywan, biegną do kuchni, wracają, kłócą się. Mąż wymyśla żonie, żona mężowi i znowu wybiegają. Sąsiad idzie do siebie, wraca, przynosi olbrzymie nożyczki, podobne do sekatora. Tymczasem te poszukiwane, po odwinięciu obrusa, ze stukiem spadają na ziemię.

Tak się dzieje z kluczami, które od niewiadomych czasów przechowuje się w szufladach, w pudełkach od starych zamków już nie istniejących, od poprzedniego mieszkania, od bramy, nie od tej obecnej, z innej ulicy, czasem z innego miasta. I kiedy klucz się zgubi — ten potrzebny, ten aktualny, wszystkie niepasujące znajdują się, tylko tego właściwego nie ma.

Tak się dzieje z rannymi pantoflami, ze skarpetkami — och, skarpetki to osobny dział! Przeważnie ginie jedna. Jest popielata i wiśniowa, jedna krótka, druga długa, letnia i zimowa, czarna i granatowa, a do pary nie ma. Ani w koszu, ani w komodzie. Szafa do góry nogami przewrócona, na pawlaczu brudy wyrzucone, nie ma!

— Dlaczego moje nylony są, dlaczego nigdy ich nie szukam, co się dzieje, co ty robisz ze skarpetkami? Nie mogę pojąć. Niesłychane rzeczy.

A szpilki, agrafki, igły! Igły, które spędzają sen z powiek. Żeby ktoś nie stąpnął na nie, żeby w pięty nie wlazły, żeby się dziecko nie skaleczyło!

Osobna historia to papiery na biurku, ważne papiery: dokumenty, rękopisy, małe karteluszki, żółtawy papierek — bezcenna notatka — i listy. Listy, koperty z adresami. Listy wymagające koniecznej odpowiedzi; już przedawnione, listy, które trapią nasze sumienie, nie dają nam spać w nocy.

— Jak to się mogło stać? Przecież doskonale pamiętam, włożyłem do teczki.

— Do której? Do zielonej, do żółtej czy różowej?

— Do grubej, cienkiej, tej na kaloryferach, w stoliczku nocnym czy w szafie z książkami?

Otwieramy, papierek za papierkiem czytamy, przekładamy. Układamy. Po jakimś czasie okazuje się, że nie ma znowu innego papierka, który w czasie tamtego szukania, przez omyłkę, powędrował do innej teczki.

Nie tylko w bałaganiarskim, ale w każdym przyzwoitym domu, takie rzeczy się zdarzają i każdy zna te sprawy, które dotyczą właśnie złośliwości martwych przedmiotów.

Meble mają również swoje przywary! Mieliśmy kiedyś starą kanapę — kanapę jędze, jak słusznie w domu była przezwana. Dała się nam znacznie we znaki. Było to niedługo po wojnie, w naszym skromnym mieszkaniu, którego umeblowanie składało się przeważnie z pożyczonych czy darowanych gratów. Również kanapa. Po jakimś czasie brokat seledynowy przetarł się. Z cienkiej, przezroczystej podszewki zaczęło wyłazić włosie zakurzone, sprężyny, coraz bardziej rozluźnione, rozpanoszyły się do tego stopnia, że bezceremonialnie wdzierały się w ciało i trzeba było umiejętnie zmieniać pozycję przy siedzeniu, żeby uniknąć bolesnego ciosu. Któregoś dnia mały wówczas Piotruś, wdrapując się na kanapę, mocniej wierzgnął kolanami, coś trzasło, przednia noga od kanapy obsunęła się, dziecko spadło na ziemię. Kanapa się przechyliła i pociągnęła za sobą sznur od telefonu, zwisający nad jej oparciem. Aparat umieszczony nad wezłowiem kanapy oberwał się i z hukiem spadł na podłogę.

Krzyk, płacz i zamęt. Był to ostatni figiel „kanapy jędzy". Figiel, który w skutkach pokrzyżował nam pewne plany, gdyż tego samego jeszcze dnia, jakeśmy się znacznie później dowiedzieli, był do nas ważny telefon z Warszawy. Ponieważ nie uzyskano połączenia, a kwestia terminu w tym wypadku była niezmiernie ważna, zadecydowano bez nas w taki sposób, jaki bynajmniej do gustu nam nie przypadł. Zemściliśmy się na kanapie i wyrzuciliśmy ją do najciemniejszego kąta ciemnej piwnicy.

W każdej rodzinie jakieś krzesło, fotel, lustro, komoda, talerz czy filiżanka — mają swoją historię intymną, domową i niekoniecznie złośliwą. Ileż dałoby się opowiedzieć o powabie, wdzięku tych wszystkich przedmiotów, z którymi obcujemy codziennie, ile mamy pożytku i jak bardzo jesteśmy do nich przywiązani. Czasem nawet nadmiernie przywiązani.

Ileż ludzi zapłaciło drogo, nawet własnym życiem za to, że wydało im się niemożliwością wyrzec się tego wszystkiego, co w ciągu życia nagromadzili wokół siebie.

Nie trzeba było wówczas oglądać się wstecz, nawet myślą należało uwolnić się od wszelkiego bagażu. Wyjść z własnego domu i los swój powierzyć drodze wyścielonej trawą, drzewom okolicznym, gwiazdom i niebu.

Tak też uczyniliśmy w trzydziestym dziewiątym roku. Potem już nie było do czego wracać. Straciliśmy wszystko.

Pośród drogich nam pamiątek był również obrazek-kopia malowidła na kamieniu, pochodząca ze Stabii. Na zielonym tle, odwrócona postać młodej dziewczyny, w luźnej, miękko fałdującej się szacie, z głową lekko odwróconą, tak że jej twarz tylko kształtem owalu trochę się zarysowywała. W lewej ręce miała koszyk, z którego delikatne płatki kwiatów się wychylały. Prawą dotykała tych samych płatków kwitnącej gałązki. Zrywała je idąc, bo stopa jej bosa była podniesiona, jakby w rytmie tanecznym. Postać dziewczęca, samotna —a może tylko na chwilę odeszła od orszaku innych dziewcząt. Nazwaliśmy ją „Flora". Od niepamiętnych czasów wisiała nad biurkiem Jana, w otoczeniu Nike samotrackiej, Homera i brązowego popiersia młodego Augusta Oktawiana. W tym też wyborowym towarzystwie spłonęła od złośliwej ręki naszych wrogów w czasie powstania.

Tak jak miliony Polaków zaczęliśmy od początku. Już od wielu lat jest nowy dom, meble, przedmioty złośliwe i pełne również cech dobrotliwych. Znowu są pamiątki nagromadzone, a wśród nich — na miejscu honorowym — „Flora". Urocza, pełna wdzięku, idzie i zrywa gałązkę kwitnącą. Odzyskaliśmy ją w Lucernie tego lata. Podarował nam ją pan Alfred Loepfe. Posiadał taką samą kopię jak nasza. Nawet złocona rama była prawie identyczna jak tamta. Nie umieliśmy ukryć naszego wzruszenia w czasie wizyty u naszych przyjaciół szwajcarskich. Zapytali nas — opowiedzieliśmy jej smutny koniec. W kilka dni później przynieśli nam „Florę" w podarunku na rocznicę naszego ślubu.

Starannie opakowana, jechała z nami tysiące kilometrów, żeby wrócić, jeśli ściśle nie na swoje miejsce, to w każdym razie do swoich starych przyjaciół, którzy są zawsze pod jej urokiem.

Z lubelskiej sceny

C Y D zbuntowany

ANNA TATARKIEWICZ

Que de maux et des pleurs nous coûteront nos pères!
O! jak wzgląd ojców naszych łzami nas oblewa!

(„Cyd" w przekładzie A. Morsztyna)

„Cyd" w przekładzie Wyspiańskiego na współczesnej scenie — to palimpsest, niejeden raz starty i zapisany od nowa. Dajmy dziś pokój Cydowi z epopei, z Romancera, z dramatu Guilhema de Castro, pratekstom, które prześwitują tu i ówdzie spod „Cyda" Kornelowego. Zajmijmy się trzema zapisami: „Cyd" Corneille'a, „Cyd" Wyspiańskiego, „Cyd", jakiego ukazali młodzi aktorzy naszej sceny, realizując koncepcję inscenizacyjną Jerzego Rakowieckiego.

Wiadomo, co to był „Cyd" Corneille'a — młodość francuskiego klasycyzmu, owoc filozofii racjonalistycznej, a zarazem dziecię miodowego miesiąca Francji z absolutyzmem. A więc „Cyd" to poemat o miłości. „Cyd" to rzecz historyczna i polityczna o absolutyzmie, konsolidującym się na przekór hardym magnatom-wichrzycielom spod znaku Frondy. A także „Cyd" to dramat optymistycznego woluntaryzmu, tak bliskiego filozofii kartezjańskiej. W filozofii Kartezjusza rozum poznaje dobro, a wola dobro egzekwuje, zawsze zdolna okiełznać namiętności. Gdy Rodryg kocha Chimenę, a Chimena Rodryga, oboje idą zarówno za sercem, jak za rozumem, bo oboje w swej kategorii reprezentują dobro najwyższe. Ale splot okoliczności zewnętrznych stawia ich w sytuacji, która w istocie jest sytuacją bez wyjścia. To nie jest zwykły konflikt między uczuciem a obowiązkiem, zarówno uczucie jak obowiązek sprzysięgają się przeciwko szczęściu kochanków. Gdyby bowiem Rodryg nie pomścił ojca, jakim okiem córka dumnego Gomeza patrzyłaby na syna zelżonego? Aby zachować miłość Chimeny, Rodryg musi zabić jej ojca, a to z kolei zdaje się przekreślać na zawsze możliwość ich związku.

Gdy się pomszczę, Chimenie zadam wieczną ranę.
Niepomszczony, jej ręki niegodnym się stanę.

Podobnie Chimena, chcąc pozostać godną Cyda, musi doszukiwać się na nim zemsty ostatecznej.

Mogłoby się zdawać, że ta historia, gdzie na wszelkie sposoby deklinuje się słowo „honor" i „cześć" — to jakaś łamigłówka z feudalnego kodeksu rycerskiego. Ale spróbujmy przełożyć sytuację „Cyda" na język współczesny. W naszym języku honor to — godność. Rodryg jest w sytuacji, w której tak czy owak musi utracić wszystko, może zachować jedno — godność. Każdy z nas, śmiertelników, musi utracić wszystko — życie, może ocalić jedno — godność. W tym punkcie dramat starego Corneille'a okazuje się niepokojąco współczesny i bliski filozofii dobrze znanej naszym czasom. „Kości rzucone" Sartre'a to nieomal replika „Cyda", rzecz o wyborze i o męskiej godności przetransponowana na stosunki współczesne i kategorie egzystencjalistyczne.

Ale Corneille był woluntarystą, nie był natomiast wyznawcą tragicznej filozofii nicości. Ten wielbiciel Rzymian skłaniał się do starożytnej maksymy: „Fortes fortuna iuvat". Dzielny Rodryg wybiera godność i odzyskuje wszystko — miłość i szczęście.

Jak bardzo zmieniła się tragikomedia Corneille'a pod piórem Wyspiańskiego. W miejsce optymistycznego woluntaryzmu Wyspiański wprowadza metafizykę Losu:

Bo wielkie szczęście los zazdrosny ściga.
Gdy człowiek naprzód dolą swą się cieszy,
już tajemnicze, niezgadnione moce
cios nań zgotują, co szczęście druzgoce.

U Corneille'a nad ludźmi był tylko racjonalistyczny Bóg i jego mądre zamierzenia, u Wyspiańskiego ludźmi władają „tajemnicze, niezgadnione moce". Tekst Wyspiańskiego rozsadza nie tylko regularne rządki aleksandrynów, tekst Wyspiańskiego rozchodzi się z Corneille'm w sprawach istotnych, a przede wszystkim nie pasuje do Kornelowego „happy endu". U Corneille'a Rodryg dowiaduje się z ust Chimeny, że powinien zwyciężyć Sancha i podąża na pojedynek z okrzykiem triumfu:

Nastąpcież teraz wszystkie potęgi
choć z piekła!
...Śmieję się z was i jedną ręką
was rozwieję!

U Wyspiańskiego Rodryg, nie dosłuchawszy oświadczeń Chimeny, wychodzi ze słowami:

To moje rozstanie. Żywiło mnie kochanie,
zabiło kochanie.

I logicznie rzecz biorąc, powinien teraz zginąć, a tragiczny okrzyk Chimeny: „Boże! Już się stało" — to w istocie jej pożegnanie z Cydem-kochankiem. Wyspiański i Los — przeznaczają Rodrygowi inne zadania — romantycznego wodzostwa. Końcowe połączenie młodych, wzięte żywcem z Corneille'a, kłóci się z całą koncepcją Wyspiańskiego.

Cóż z tego sprzecznego amalgamatu kornelowsko-wyspiańskiego przyjęli i uznali za swoje młodzi aktorzy grający „Cyda" w roku współczesności 1960?

Rodryg i Chimena kochają się pierwszą miłością i tylko presja rodziców i obyczaju zmusza ich do postępków wbrew sercu. Z jaką pasją Rodryg, dokonawszy swego, powiada do ojca: „Zrobiłem co chciałeś, odczep się ode mnie" (przepraszam za wolny przekład, ale to właśnie ten ton). Z jaką ulgą kochankowie pozostają sami, pozbywszy się tłumu uprzykrzonych świadków w średnim wieku (*nota bene* znakomity pomysł inscenizatora to „odizolowanie" młodych na proscenium). Przeciągnęli na swoją stronę króla, który wbrew logice i tekstowi jest młody, gorący, zrobiony z tego samego łatwopalnego materiału co Rodryg. Król z wyraźną niechęcią traktuje siwowłosego Diega, zepchniętego zgoła w cień, aczkolwiek Sainte-Beuve, tęgi znawca przedmiotu, twierdził, że w tej sztuce o młodych Diego jest jednak największy. Trzeba słyszeć, jak dwornie król zaprasza do powstania Chimenę, a jakim tonem zwraca się z tym samym do Diega. Opowieść o rozprawie z Maurami przemienia się w pasjonującą relację z jakiegoś zwycięskiego meczu! A Infantka! Jej wzorem na pewno nie są hieratyczne postacie z obrazów Velasqueza; jeśli kogo przywodzi nam na myśl to dziewczę rozdrażnione, iż korona zamyka jej drogę do ukochanego — to Audrey Hepburn z „Rzymskich wakacji". Ci młodzi mają sobie za nic etykietę, bez ceremonii obracając się do króla plecami. Toż samo w stosunku do

(Dokończenie na str. 7)

KOBIETY W OCZACH

W literaturze polskiej kobiety począwszy od XIX wieku odgrywają bardzo poważną rolę. O ile początkowo, tj. do pozytywizmu, zdobycze kobiecych piór były raczej skromne, tak że dziś nie często spotyka się na łamach czasopism, a nawet podręczników, nazwiska Drużbackiej, Wirtemberskiej czy Tańskiej-Hoffmanowej, o tyle później nastąpiła radykalna zmiana — kobiety weszły do literatury polskiej na stałe: Konopnicka, Orzeszkowa, Zapolska, Żmichowska, Rodziewiczówna, po nich — Ostrowska, Wolska, następnie Jasnorzewska-Pawlikowska, Nałkowska, Iłłakowiczówna, Dąbrowska, Kossak-Szczucka, Szelburg-Zarembina, Kuncewiczowa, Gojawiczyńska i wiele innych. Im właśnie literatura zawdzięcza szereg pięknych i głęboko prawdziwych portretów kobiecych. To one wprowadziły do swych powieści, nowel czy wierszy bogatą galerię matek i córek, żon i przyjaciółek, natur prostych i skomplikowanych, zawiedzionych i szczęśliwych, wzniosłych czy też przyziemnych. Bohaterki utworów pisarek polskich — zwłaszcza współczesnych — pozostają w pamięci na długo, są z krwi i kości, przeżywają wszystko na swój własny, jak najbardziej indywidualny sposób. Otóż np. bohaterka „Grodu nad jeziorem" Kossak-Szczuckiej — Olsza, dziewczyna z prasłowiańskiego grodu, chce tylko mieć kochającego męża i być mu wierną do śmierci. Jakże dalekie od tych prostych marzeń są przeżycia Celiny z opowiadań Gojawiczyńskiej, Barbary z „Nocy i Dni" Dąbrowskiej czy Róży z „Cudzoziemki" Kuncewiczowej, kobiet, które albo były pokłócone z całym światem, wiecznie niezrozumiane, zawiedzione, niezaspokojone w swych pragnieniach, coraz to większych, często ponad stan, albo w poszukiwaniu niezdobytych i nieosiągalnych ideałów miotały się wśród tysiąca sprzeczności, buntowały przeciw losowi i godziły z nim, żyły pełnią życia lub wegetowały zamknięte w salonach czy przykute do ciężkiej pracy w domu, obarczone dziećmi. Świat marzeń kobiecych jest niezmierzony, można w nim znaleźć rzeczy wielkie i zupełnie małe: królewicza i... zwykły grzebień, o którym marzy bohaterka „Wędrówki Joanny" Szelburg-Zarembiny.

Sięgnijmy do dzieł naszych współczesnych powieściopisarek. Oto kilka niedużych fragmentów. Może znajdziemy już tu odbicie własnych myśli, marzeń czy przeżyć? **(E. R.)**

MARIA DĄBROWSKA

Powszedni ranny gwałt prędko się uspokoił, dzieci wyruszyły na lekcje, Julka poszła do miasta, pani Barbara została sama. Chciała się zrazu czymś zająć, zajrzała do kuchni, wróciła, wzięła się do ząbków, do papierosa. Ale niebawem ręce jej opadły bezwładnie, papieros wygasł na popielniczce. Jedyne, co mogła czynić, to przygotowywać i siebie, i mieszkanie na przyjęcie mającego przyjść po południu gościa. Przestawiała krzesła, porządkowała drobiazgi na komodzie, odwracała kwiaty bujniejszym liściem na pokój. Następnie przebrała się w czarną suknię z koronkowym kołnierzykiem i mankiecikami, gdyż zdawało jej się, że jeśli tego nie uczyni zaraz, to potem nie zdąży. Drżała przy każdym odgłosie czyichś kroków na schodach, śpieszyła się, na próżno powtarzając sobie, że przecież do południa jeszcze bardzo daleko. Lecz choć krzątając się miała wrażenie, że czas mknie jak na skrzydłach, wszystkie te zabiegi trwały niecałe pół godziny, natomiast gdy je ukończyła, minuty nawet zaczęły się dłużyć w nieskończoność. Chodziła jakiś czas w kółko, wreszcie ona, która nigdy w dzień się nie kładła, wyciągnęła się ociężale na kanapie, jakby w poczuciu, że tak może łatwiej będzie znieść nacisk wspomnień, przeczuć, oczekiwań.

— Czy to możliwe — szepnęła — żebym go jeszcze kochała?

Ciało już nie pamięta tych pożądań i tęsknot, które nią kiedyś miotały, serce kocha już innych ludzi, męża, dzieci, jakim sposobem ta ponura namiętność jeszcze coś w niej, starzejącej się prawie kobiecie, porusza? Nigdy nie lubiła wspominać i nigdy, wspomniawszy to i owo z przeszłości, nie mogła w tym odnaleźć związku z obecną sobą. Nieraz ją to męczyło, pytała siebie: gdzie jest to, co łączy te różne okresy w jedną istotę, a tę istotę w jedno ze światem?

(...) Czyżby na tym świecie jedynie miłość nieszczęśliwa była czymś trwałym, nie zamykającym się, nie kończącym się nigdy?

„Noce i dnie"

Mało znane wczesne zdjęcie pisarki

ZOFIA KOSSAK

Olsza nie brała udziału w rozmowie. Siedząc po przeciwnej stronie ogniska grzebała w żarze leszczynowym prętem (zawsze w pobliżu paleniska tkwiły wetknięte w szparę ściany pręty leszczynowe, by można je było rzucić na ogień w razie potrzeby, jako najwalniejszą ochronę przeciw urokom). Żywnie jej się chciało uderzyć mocniej w głownię, by iskry strzeliły. To znak, że mąż będzie ją kochał ogniście. Sromała się jednak to uczynić, a drzewo samo z siebie strzelać nie chciało. Będzież ją pomimo to Miłosz miłował? Miłosz! Sama nie wiedziała, czy westchnąć radośnie: Łado! czy smutno: Oj lelum! — Jużcić, powinna się radować. Nie za wdowca idzie, lecz młodego, pięknego chłopca. Ujrzała go znów pędzącego konno za jeleniem. Luby Miłosz... Jeszcze się miesiączek nie obróci, a będzie mu już pewno poślubioną, będzie żeniną, zamężną, co znaczy, że całe życie chodzić ma wiernie jak pies za mężem. Nie dziw to, że z trzech drużek rówieśniczek Jastruna w jeziorze zatopiona, Bognę Pomiłostów w daleki świat powieziono, a ona jedna, Olsza, została i szczęsny się jej los ściele?

„Gród nad jeziorem"

EWA SZELBURG-ZAREMBINA

Dziwna rzecz, że na jeden tylko przedmiot miała ochotę tak wielką, że łzy napędzała do źrenic: na jasny rogowy grzebień. Oczywiście, nie mogła go kupić nie mając pieniędzy. Zresztą nawet jej to nie przyszło do głowy. Przyglądała mu się i stała, myśląc o jednym: o tym, jak to jest, gdy matczyna ręka czesze włosy takim grzebieniem.

A włosy miała Joanna nie takie, jak miała Krystyna, krótkie i kędzierzawe, ale długie, na równi z sukienką i tak gęste, że druciany grzebień o rzadkich zębach, kupiony przez panią Wincentę, z trudem wchodził w ten gąszcz. Splecione ciasno w warkocze, spadały na plecy Joanny jak dwa grube, aż sztywne bicze, u nasady głowy z trudem dające się objąć jedną ręką. Nosiła je okręcone trzykrotnie w gładki wianek dookoła głowy. I co dzień wieczorem i z rana zalewała się łzami nie mogąc sobie dać rady z pozostawionymi pasmami, z bolesnymi supłami na końcach, z całą tą niesforną grzywą.

KOBIET

TROCHĘ CYTAT Z UTWORÓW WSPÓŁCZESNYCH PISAREK POLSKICH

Od czasu do czasu pani Wincenta zabierała się do robienia porządku z głową Joanny. Wtedy izba dziewcząt napełniała się na parę godzin kłębami gorącej pary, zapachem odwaru tataraku i płaczliwym krzykiem.

Nieraz i Krystyna ofiarowywała się wspaniałomyślnie z pomocą młodszej siostrze. Jednak na widok sutego płaszcza włosów, okrywającego tak rozrzutnie chude, dziecinne jeszcze plecy Joanny, uczuwała tak silną zazdrość dorosłych dziewcząt nie posiadających pięknych warkoczy, że nie chcąc grzeszyć złymi myślami przeciw rodzonej siostrze, wolała nie dotykać się ich i nie patrzeć na nie.

„Wędrówka Joanny"

MARIA KUNCEWICZOWA

Chodziła wystrojona w długą rotundę ze stuartowskim kołnierzem i w maleńki, na czoło zsunięty kapelusik, który zdobiło krucze skrzydło. Suknie nosiła opięte, z koronkowymi żabotami, czesała się gładziutko, z rozdziałem pośrodku głowy, tylko kilka puszystych loków nad karkiem. Ręce bez pierścieni, nerwowe i ciężkie. Kiedy podawała dłoń, czuło się w uścisku martwy, jednak palący przedmiot.

(...) Urodą operowała mistrzowsko. Ponieważ w erotycznych okolicznościach nie bywała wzruszona, nie zabrakło jej nigdy okazji, by zaobserwować w lustrze, który uśmiech, wyraz, jaka poza są najbardziej korzystne. Zauważyła, że przy śmiechu niezbyt szerokim mięśnie twarzy układają się niesfornie, kryjąc oczy, co nie jest okupione błyskiem zębów. Zatem ilekroć wypadało mdło się roześmiać, opuszczała głowę i dłonią przesłaniała twarz — wtedy nie kompromitowała oczu i nadawała śmiechowi pozory ładnej melancholii. Taka była mądra.

Pielęgnowała się troskliwie. Na noc wcierała w policzki maść ogórkową, ręce namaszczała coldcreamem, sypiała w rękawiczkach, nie nosiła raniących bryklami gorsetów, ciało utrzymywała w pedantycznej schludności. Wiele w tym znajdowała pociechy, że tak prostymi środkami można było osiągnąć zemstę nad rodem męskim, nad Polską, nad Rosją i nad własnym życiem. Nie myślała tak — zdawała sobie sprawę z proporcyj ludzkich spraw. Z tego, że jeden człowiek nie może sobą przesłonić świata, ani świata czy narodu reprezentować; a także, że zemsta niczego nie uleczy, że jest zadaniem śmiesznym, bo winowajca zawsze pozostaje nieznany. Mściciel zaś ostrze kary sam przeciw sobie obraca. Róża to wiedziała — nieżyczliwe podboje, złośliwe romanse nie dawały jej nadziei na poprawę losu. Róża wiedziała, ale czuła inaczej. Dla niej — wbrew wszelkiemu sensowi — jeden człowiek przesłonił świat, jeden człowiek reprezentował naród jedna tylko niedorzeczna zemsta była uczuciem, którym oddychało serce. Taka Róża była głupia.

„Cudzoziemka"

POLA GOJAWICZYŃSKA

Celina nie znajdowała ludzkich słów na określenie procesu, jakiemu ulegała. To było zwierzęce, zwierzęce, gdy tętno słabło, a potem ostry podryw serca, niczym cios noża, stawiał ją na nogi. Oglądała się wstecz, za siebie, i nie dostrzegała niczego, czego można by użyć, żadnego leku znieczulającego. Zdawało jej się, że nigdy nie kochała, że nigdy nie była kochana, choć tyle razy zamykała w swych ramionach miłość. Wszystko, co było cenne i ważne, zbladło. Pozostała ze swą zimną samotnością, zdumiona, że to już wszystko, wszystko!... a więc nic...

Powinno się gasnąć z jakąś wielką myślą pod powiekami, powinno się odchodzić z jakąś wiedzą o przebytej drodze. Ale gdy się przestaje rodzić w męce i szczęściu, gdy się przestaje dawać w miłości, pozostają same śmieci. Koniec życia nieprawdopodobnie zaśmiecony. Co robisz, moja droga? Walczę z kuchtą, ponieważ kradnie. Siedzi się na śmietnisku i warczy, aby nie wykradano tego drogocennego gruntu spod resztek życia. Walczy z najbliższymi, by nie odchodzili, walczy się ze swą twarzą, z tajemnicą swego ciała, swym pragnieniem. Gdy nie staje rzeczy wielkich, urastają małe. Wszystko, czego się tknie, jest znaczone owym przerostem, fałszywym znaczeniem, mały i skromny odcinek trudu, pracy społecznej — urasta do warsztatu, do placówki, do deski zbawienia, zanim nie ujawni swej istoty, zanim nie okaże się plastrem, nie lekiem.

„Opowiadania"

HELENA BOGUSZEWSKA

Zawsze było tak samo, ilekroć zaczynała nowe życie, tak samo jak teraz tutaj, w świetle księżycowym...

— Bójcie się Boga, ludzie! Toż tutaj mogłoby być po prostu wszystko!

Jej zmęczone oczy zaokrąglają się ze wzruszenia, od razu rozbłysłe, jakby już widziały: estrada, na estradę wchodzi się bocznymi drzwiami... Ale co tam odczyty, pogadanki! Prawdziwy teatr dla wsi okolicznych, z bezdroży, z piachów teatr ochotniczy! Zebrałoby się najzdolniejszych, zrobiłoby się zespół...

Waleria dobrze widzi i to, i tamto, i jeszcze coś innego. „Przecież tu rynny oberwane" — przypomina sobie. — „Tu już w ogóle nie ma rynien, dlatego dach przecieka".

Z zadartą głową biega po sali, wciąż jeszcze wypatrując na suficie. Dziw, że się nie przewróci na tych swoich wysokich a wykrzywionych obcasach, bo i piękna posadzka tu i owdzie garbi się wybrzuszeniami wilgotnych deszczułek. I nie wiadomo, kto ma większą uciechę, czy ci wyglądający i gadający z mroków sieni, czy ci, co zgromadzili się pod oknami, z nosami rozpłaszczonymi o grube szyby, żeby lepiej widzieć Walerii ręce w powietrzu, Walerii prawie białe włosy fruwające dokoła zadartej twarzy, całą Walerię w rozpaczy, w natchnieniu, w złości, w zachwycie, w księżycu...

„Czarna kura"

Dżoja w Polsce

(Dokończenie ze str. 3)

Tam na wsi sprowadziła do parku pawie, a w domu, który wybudowano ściśle według jej planu, powstawały co dzień nowe ulepszenia i raz po raz przychodziły z Anglii skrzynie flanc kwiatowych oraz bananów i brzoskwiń na stół. Olbrzymi płowy irlandzki dog, wielki jak spory źrebak, płoszył po drogach wsiowe koniki.

Zdrowie nie pozwalało Joy na piesze wyprawy, za to chętnie szoferowała sama. Nie zapomnę wizyty z nią w Ł., dokąd mnie zawiozła na przyprzążkę angielskim zwyczajem, jako bawiącego właśnie w domu gościa. W zamku o kilkudziesięciu bodaj pokojach gospodarze snuli sobie swoje dalekie prywatne życie, a na pierwszym planie krążyła służba — wspaniała, uprzejma, hojna, umiejąca gości przyjąć, umieścić, oswoić i oprowadzić. Każda z nas dostała na umycie rąk i poprawienie włosów apartamencik z dwóch pokoi i łazienki. Ledwie wyjrzałam na korytarz, znajdujący się w pobliżu imponujący, ale przyjazny, kamerdyner poinformował mnie, kiedy podadzą do stołu, i wyraził pewność, że zechcę odwiedzić Joy na jej kwaterze.

Znalazłam ją skwaszoną. Właściciele, krewnych męża, spostponowała jakimś aż nadto potocznym angielskim słówkiem. Dlaczego nie mogli po ludzku, prościej, a nie — przez służbę!?

— Ależ, Joy, to przecie jest nie dom, tylko machina, a w niej gości z kilkadziesiąt sztuk. My jesteśmy jedną z pozycji, i to nie najważniejszą, bo ciebie goszczą na prawach krewnej. Dajże pokój, chodźmy lepiej przejść się po zamku.

Uroczy służący wodził nas wyłącznie po korytarzach od arcydzieła do arcydzieła, aż skończyliśmy w pobliżu jadalni. Kiedy używam tego słowa, mam na myśli po prostu pokoje, w których dnia tego się jadło, bo jak mnie objaśniono przy lunchu — co dzień podawali do stołu gdzie indziej, żeby móc dopatrzyć, czy wszędzie jest dobrze sprzątnięte. Gości istotnie zeszło się kilkadziesiąt sztuk wszelkich narodowości i najrozmaitszych zawodów. Reprezentowane były sztuka i handel, bankowość i przemysł, budowa okrętów i łowiectwo. Myśliwi od grubego zwierza sąsiadowali z namiętnymi łowcami łososia, a prawie wszyscy bawili z żonami. Poza tym zasiadła przy stole chmara krewnych różnej płci. Absolutna internacjonalność obecnych działała niezmiernie kojąco, tak jakoś bezosobiście. Wyglądało to jak gobelin wyobrażający wielki wiec narodów czy kongres pokojowy bez komplikacji, za to w wielu kolorach.

Po czarnej kawie pan domu obszedł z grupą gości park i stajnie, a kiedy wrócono do zamku, zaczęły podjeżdżać różnego rodzaju wehikuły przeznaczone do wycieczek spacerowych po okolicy... I tu spotkała nas niespodzianka: podano i nasz samochód. Joy żywo się obruszyła:

— Kto kazał? Ja nic nie mówiłam.

Pani domu lekko rzuciła w odpowiedzi:

— Moja droga, sądziliśmy, że zechcesz wrócić do Zawady przed zmrokiem. Sama szoferujesz.

Widziałam nadludzki wysiłek Joy, pasującej się z wrodzoną popędliwością:

— Dziękuję bardzo. Do widzenia.

No i ruszyłyśmy w powrotną drogę. Ledwośmy wyjechały za miasto, zaczęłam pokładać się od śmiechu. Po chwili Joy również się roześmiała.

— Nie chcę ich więcej widzieć! — powiedziała jednak zaciekle.

— Czego ty od nich chcesz? Dali nam, co mieli i jak umieli, jedwabne życie przez kilka godzin, a ty masz za złe.

Joy przez resztę jazdy ciągle jeszcze przetrawiała w milczeniu ostre kanty krewniackiej pompy, aż widok którejś z mijanych wiosek nasunął jej myśl o projektowanym przez nią obchodzie dożynkowym. Chciała do niego wprowadzić niektóre popularne gry angielskie i wszelkiego rodzaju konkursy, jako to — bieg wyścigowy dziewczynek, niosących każda jajko na łyżce, a zwłaszcza bieg starców i staruszek w workach związanych u pasa. Musiałam ją ostrzec:

— Joy, to wykluczone.

— Dlaczego? Zawsze mi coś takiego musicie mówić! Wszystko mi psujecie... Dlaczego? Powiedz. Przecie to się wszędzie robi w Anglii i jest bardzo zabawne.

— U nas to by się nie podobało. Ci starzy ludzie nie zgodziliby się na to.

— Ale to takie śmieszne!

— Właśnie dlatego. Oni są bardzo godni, nie zechcieliby, żeby się z nich śmiano.

— To nie ubliża, to jest dla zabawy. Ja rozdam piękne nagrody.

— U nas, gdyby się z nich raz zaczęto wyśmiewać, to już by ich później nikt nie szanował. Oni na pewno tego nie zechcą.

Tak pozbawiano powoli odważną, wesołą, przedsiębiorczą Joy wszystkich jej radości. Wyzbywała się ich z oporem, ale pogodnie. Nie dała sobie wydrzeć tylko jednej — macierzyństwa... I w tej walce poległa.

Kazimiera Iłłakowiczówna

„Proszę mnie poratować!...“

STANISŁAWA GOGOŁOWSKA

BARDZO niedawno odbył się w lubelskim Sądzie Wojewódzkim proces o zabójstwo dziecka — dziecka „niepotrzebnego", będącego tylko zawadą. W toku rozprawy wyszło na jaw, że chłopak był bestialsko katowany, morzony głodem i zmuszany do pracy przekraczającej jego możliwości i siły. Jego przyrodnia siostrzyczka, głodzona i zaniedbywana, obarczała nieludzkich rodziców swym niepożądanym istnieniem zaledwie kilka miesięcy. Kiedy zmarła, matka była już znowu w ciąży.

Przytoczone tu wypadki są może szczególnie drastyczne i wyjątkowe. Podobnie zresztą jak głośna w naszym mieście przed jakim rokiem historia studentki, która pozbawiła życia swoje dziecko natychmiast po wydaniu go na świat. Jednakże znęcanie się nad niepożądanymi, „niepotrzebnymi" dziećmi-„intruzami", tragiczny los tych nieszczęśliwych, przez nikogo nie kochanych istotek — są to sprawy ani rzadkie, ani wyjątkowe.

Znana jest dobrze władzom naszego miasta rodzina niejakich Pajurków, w której co rok przychodzi na świat dziecko. Jest ich tam cała kupa — głodnych, zaniedbanych i katowanych. Ostatnio prokuratura miejska była nawet zmuszona do ingerowania i odebrania dzieci zwyrodniałym rodzicom, którzy zostali aresztowani i będą odpowiadali za znęcanie się nad swoim niepożądanym potomstwem. Takich Pajurków jest niemało w Lublinie, w naszym województwie i całym kraju. Na ogół jednak wyrodne, źle odnoszące się do swoich dzieci matki należą raczej do wyjątków.

Nieszczęśliwe są nie tylko niepożądane dzieci, ale w nie mniejszym stopniu również i kobiety, które dają im życie. Kobiety wycieńczone częstymi porodami, przedwcześnie starzejące się, które nie mają sił, by sprostać swym nadmiernym obowiązkom, nie mają środków pieniężnych, by nakarmić i odziać swe liczne potomstwo, ani też czasu, by zająć się jego wychowaniem.

Czy może być — w erze sputników i łunników, w kraju cywilizowanym, gdzie obowiązuje pełne równouprawnienie kobiet, gdzie mają one dostęp do każdego zawodu, do najwyższych nawet stanowisk i godności — czy może być, powtarzam, większy paradoks, jak bezwolne podporządkowywanie się kobiety kaprysom natury, zmuszanie jej do dawania życia dziecku nie wtedy, kiedy ona sama tego pragnie i o tym zadecyduje, ale wówczas, gdy zostaje jej to narzucone, tak jak to było za czasów naszych babek i prababek, w minionych stuleciach. Jest to przecie przekreślenie zdobyczy, jakie kobieta zawdzięcza państwu ludowemu, zepchnięcie jej — wbrew naszemu jak najbardziej postępowemu ustawodawstwu, równającemu całkowicie kobietę w jej prawach z mężczyzną — do roli niewolnicy przypadku.

Problem świadomego macierzyństwa, którego niestrudzonym bojownikiem i gorącym propagatorem był już przed laty Boy-Żeleński, zyskuje sobie dzisiaj coraz większe prawo obywatelstwa w naszym społeczeństwie. Jego ideą przewodnią jest troska o ulżenie doli milionów kobiet cierpiących wskutek własnego zacofania, ulegania nakazom i zakazom uformowanym na wzorach średniowiecznych — troska o szczęście rodzinne, o radosne, szczęśliwe dzieciństwo.

Nie przypadkowo dekorację sali, w której w Warszawie obradował niedawno ogólnokrajowy Zjazd Towarzystwa Świadomego Macierzyństwa, stanowiła ogromna fotografia roześmianego dziecka. Wszak to właśnie o szczęście dziecka — o to, by rodziły się tylko dzieci pożądane, z radością oczekiwane przez rodziców, mogących im zapewnić odpowiednie warunki — walczy TŚM.

W Polsce czyni się wszystko dla umożliwienia planowania rodziny, aby jej liczebność mogła być wynikiem świadomie podjętej decyzji dwojga ludzi.

Rozsądne małżeństwo zdaje sobie sprawę z tego, że nie powinno mieć więcej dzieci, aniżeli może wyżywić, ubrać, wychować i wykształcić. Jeżeli liczba dzieci przekracza te możliwości, cierpią na tym zarówno dzieci, jak i rodzice.

Jedno z głównych zadań, jakie postawiło sobie TSM — to udostępnić małżeństwom, które pragną planować liczebność rodziny, korzystanie z osiągnięć współczesnej medycyny. Chodzi o to, by przez jak najszerzej zakrojoną i najbardziej powszechną akcję uświadamiającą zapobiegać niepożądanej ciąży, a co za tym idzie ograniczyć do minimum zabiegi przerywania ciąży, które przecież nie są obojętne dla organizmu kobiecego i muszą być traktowane jako zło konieczne.

Zdawałoby się, że tak szlachetne i jak najbardziej związane z potrzebami społecznymi zamierzenia spotkają się z ogólnym zrozumieniem. A tymczasem...

Jakkolwiek dzisiaj, gdy Towarzystwo Świadomego Macierzyństwa liczy już ponad 11 tysięcy członków, rekrutujących się spośród najświatlejszych lekarzy, pielęgniarek, literatów, dziennikarzy, chłopów i robotników — ze wszystkich warstw społecznych, czasy kiedy problemy te były tabu, wydają się bardzo odległe, to jednak i obecnie wokół sprawy świadomego macierzyństwa istnieje wciąż jeszcze wiele nieporozumień i niedomówień, próbuje się rozpętać namiętne spory światopoglądowe i religijne.

Szczególną aktywność wykazuje tu kler katolicki. Z ambon i konfesjonałów wielu kościołów padają słowa apotezujące ciemnotę seksualną i żywiołową rozrodczość.

Burza rozpętana wokół problemu świadomego macierzyństwa w rzeczywistości nie ma nic wspólnego ze sprawami religijnymi. Kler nie ogranicza się bowiem do zalecania swoim wiernym takich czy innych sposobów współżycia małżeńskiego, przeciwko czemu nikt by nie oponował u nas — w kraju, gdzie konstytucja gwarantuje każdemu obywatelowi wolność sumienia i państwo nie zamierza wtrącać się do spraw religii. Jednakże kler katolicki prowadzi zorganizowaną, zakrojoną na szeroką skalę i centralnie kierowaną akcję przeciwko świadomemu macierzyństwu, sprzedaży środków antykoncepcyjnych oraz legalnemu dokonywaniu zabiegów przerywania ciąży. Fakty podburzania opinii publicznej przeciwko kobietom, które poddały się zabiegowi przerywania ciąży, lekarzom, którzy je przeprowadzają, oraz personelowi szpitalnemu asystującemu przy nich, nie są wcale odosobnione, podobnie jak wypadki szantażowania farmaceutów sprzedających środki antykoncepcyjne.

Kler zmierza wszelkimi, najwymyślniejszymi sposobami do pozbawienia obywateli udzielonego im przez nasze państwo prawa planowania rodziny. Oznacza to więcej niż godzenie w wolność sumienia, a równocześnie zagraża kobiecie ogołoceniem jej z tego, co zyskała dzięki Polsce Ludowej, — oznacza to zepchnięcie jej do poniżającej roli, jaką przeznaczył jej ongiś Hitler głosząc osławioną zasadę trzech „K" — Kinder, Küche, Kirche...

Żywym przeciwstawieniem tej wstecznej i wielce szkodliwej akcji kleru jest działalność Towarzystwa Świadomego Macierzyństwa, które aktywnie uczestniczy w toczącej się w całym współczesnym świecie walce o wychowanie nowego człowieka, wyzwolonego z ciemnoty i przesądów, planowo rozporządzającego zasobami przyrody, rozumnie kierującego samym sobą, swoimi instynktami i świadomie kształtującego swoje życie.

Zasięg TŚM stale się rozszerza. Toruje sobie ono coraz śmielej drogę nawet na wieś, gdzie zagadnienie świadomego macierzyństwa ma szczególne znaczenie, gdyż panuje tam jeszcze pod tym względem ogromne zacofanie, a sytuacja kobiety jest bardzo ciężka.

Wśród licznych listów, jakie dzień w dzień napływają do lubelskiej Poradni Świadomego Macierzyństwa — która, z inicjatywy prof. dr St. Liebhardta, powstała u nas jeszcze przed dwoma laty jako jedna z pierwszych w kraju — niemało jest pisanych niewprawną ręką mieszkanek wsi szukających rady i pomocy.

Oto co pisze kobieta wiejska z powiatu kraśnickiego:

„Droga Poradnio! Prosiłabym o jakąś radę w sprawie ciąży. Jestem jeszcze młoda, mam 37 lat, a już urodziłam 9 dzieci — 5 z nich żyje. Najstarsze dziecko ma 18 lat, a najmłodsze czwarty rok. Byłam pewna, że więcej dzieci nie będę miała, bo już się trochę odwlekło, a tu znowu. Bardzo mi smutno, wstydzę się ludzi i moich dzieci, bo są już dorosłe. A przede wszystkim, droga Poradnio, rodzić to rodzić, ale jak wyżywić i okryć tak liczną rodzinę? Rozpacz, straszna rozpacz. Mam męża pijaka, pod przymusem z nim żyję i zachodzę w ciążę.

Doradź, Poradnio! Bo słyszałam, że można przerwać ciążę. Aż strach myśleć żebym jeszcze raz rodziła. Dał mi Pan Bóg, że znalazłam gazetę i wyczytałam „Poradnia Świadomego Macierzyństwa w Lublinie". Postanowiłam napisać. Proszę z całego serca doradzić mi coś i poratować, bo nie wiem, czy to przeżyję. Za nic w świecie nie chcę być w ciąży, żebym nie wiem jakie kary miała otrzymać. Żal mi dzieci, bo bym poszła w świat, ale kto da im wtedy utrzymanie".

Inna znowu kobieta z powiatu zamojskiego — tak pisze do Poradni TŚM:

„Mam rodzinę składającą się z 8 osób. Mąż zarabia mało — 740 złotych i dodatek rodzinny, co mi nie wystarcza na wyżywienie i okrycie 6 dzieci i nas. Bałam się przerwać ciążę u znachorek wiejskich, a do szpitala wstydziłam się pójść ze względu na formalności, jakie musiałabym załatwić. Nie chcę i nie mogę mieć więcej dzieci. Proszę cię bardzo, Poradnio, o wskazówki. Pomóżcie mi w tym ciężkim położeniu! Mam 35 lat! Karmię jeszcze ostatnie dziecko".

Zresztą nie tylko listy takiej treści otrzymuje Poradnia TŚM. Zwracają się do niej o radę i pomoc również małżeństwa bezdzietne pragnące mieć dzieci. Liczba ich jest nie

▶

LUBLINIANKI

(Dokończenie ze str. 2)

Czytelnicy „Sztandaru Ludu" od 14 już lat z zainteresowaniem czytają sprawozdania z różnych ciekawych procesów sądowych podpisane trzema literkami „Gog". Autorem tych sprawozdań jest Stanisława Gogołowska.

— Moje pierwsze dziennikarskie kroki stawiałam w prasie podziemnej, podczas niemieckiej okupacji we Lwowie. Od połowy 1942 roku „przebywałam" w więzieniu, a następnie w różnych obozach śmierci: Oświęcimiu, Ravensbrück i Buchenwaldzie. Moją pracę w „Sztandarze Ludu" rozpoczęłam od sprawozdania z procesu kata Majdanka — Hoffmana. Napisałam poza tym kilka prac o zbrodniach niemieckich w obozach koncentracyjnych, — nie dla „Sztandaru", lecz jako współorganizatorka Związku Byłych Więźniów Politycznych.

— No tak, o funkcjach społecznych pełnionych przez Panią (zwłaszcza w SDP) można by mówić długo, bo było ich naprawdę wiele. Ale proszę jeszcze powiedzieć, jakie było największe pani przeżycie w pracy dziennikarskiej.

— Może raczej opowiem o najmilszym. Było to 1 maja 1946 r. W świątecznym numerze poszedł wtedy mój artykuł pt. „Dziś twoje święto, ludu roboczy". Artykuł ten bardzo się wszystkim podobał. Winszowali mi go towarzysze z KW PZPR. A redaktor naczelny, w obecności całego zespołu, wręczył mi za niego premię — 200 zł. Śmiesznie mała suma, ale byłam wówczas tak szczęśliwa, że tej skromnej premii nie oddałabym dziś nawet za 10 tysięcy.

* * *

Od dziennikarzy naszych idziemy do literatów. Jest w lubelskim oddziale ZLP pani Maria Bechczyc-Rudnicka, pani Helena Platta, pani Maria Szczepowska, pani Anna Tatarkiewicz. Porozmawiamy.

— Nic z tego! — oświadczyła redaktor M. Bechczyc-Rudnicka. — „Kamena" jest organem oddziału. Nie wypada mówić w niej o naszych „zasługach".

* * *

Przenieśmy się tedy do innego związku — do Związku Zawodowego Metalowców. Od lat już w dziale upowszechnienia oświaty i kultury pracuje tu pani Zofia Świtaczowa. Dużo pisano o niej w lubelskiej prasie jako o aktywnej radnej Wojewódzkiej Rady Narodowej, jako o przewodniczącej Wojewódzkiego Zarządu Ligi Kobiet. Nie pisano natomiast o jej działalności ekonomicznej, która była przecież tak pełna ekspresji i to w pierwszych latach po wojnie, niezwykle ciężkich dla naszej gospodarki narodowej.

— Zaczęło się to w 1946 r. w Łodzi — opowiada magister ekonomii Zofia Świtaczowa — zostałam naczelnikiem wydziału organizacyjno-ekonomicznego dawnej Centrali Odpadków Użytkowych. Nazywała się brzydko, to prawda, ale wobec ogromnego braku surowców, jaki poważnie odczuwał wówczas nasz przemysł, centrala miała wielkie zadania do spełnienia. W roku 1948 przyjechałam do Lublina. Tu zorganizowałam placówkę wojewódzką (byłam jedynym dyrektorem-kobietą w tej branży) i 13 placówek powiatowych dosłownie od podstaw. W ciągu następnych dwu lat powierzano mi podobne prace organizacyjne w województwie kieleckim i rzeszowskim oraz stanowisko dyrektora placówki warszawskiej. Od 1950 do 1953 r. pracowałam w PKPG i Ministerstwie Przemysłu Lekkiego. W 1953 roku, ze względów rodzinnych, przeniosłam się do Lublina. Tu byłam najpierw dyrektorem OZK, potem zajęłam się kinami związkowymi i od tej pory pracuję już w Związkach Zawodowych. To też bardzo ważna i ciekawa praca.

* * *

W Muzeum lubelskim panuje atmosfera piękna. Od 10 już lat czuwa nad nim jako dyrektor mgr Irena Iskrzycka (pracuje w Muzeum od lat 12).

— Muzeum okazało się moją pasją życiową. Chciałabym je ciągle rozbudowywać, doskonalić.

— A co zmieniło się w nim od czasu objęcia przez Panią „dyrektoriatu"?

— Zbiory urosły co najmniej pięciokrotnie. Oprócz działu ogólnego powstały: archeologiczny i etnograficzny (mamy duże powiązania z regionem lubelskim). Otworzyliśmy pracownię konserwacji malarstwa. Poza tym, w naszym Muzeum powstało coś w rodzaju nowej szkoły rozwiązywania problemów ekspozycji okazów.

— A... życie osobiste?

— W połowie żyję Muzeum, a w połowie domem. Mam dwie córeczki. Starsza (8 lat) zdradza wyraźne zamiłowania plastyczne. Młodsza — jeszcze nie wiadomo jakie, ma dopiero 10 miesięcy.

* * *

W drugim skrzydle Zamku jest bardzo gwarno. Tu, w Lubelskim Domu Kultury, pod opiekuńczymi skrzydłami pani dyrektor Ireny Szczepowskiej, młodzież i setki dzieci spędzają w sposób przyjemny i pożyteczny — czas wolny od zajęć szkolnych czy pracy zawodowej. Do późnych godzin wieczornych świecą często okna gabinetu pani dyrektor. Tyle jest spraw do załatwienia...

* * *

Pani Jadwiga Wróblowa jest po prostu babcią. Mieszka razem z zamężną córką — znanym i cenionym w Lublinie ginekologiem-onkologiem, — dr Mirosławą Kliszczową; wychowuje wnuczęta, prowadzi cały dom.

Co więcej, przeżyła ze swym mężem harmonijnych 37 lat małżeństwa.

— Niech nam Pani zdradzi tajemnicę, jak Pani dokazała tej sztuki?

— Myślę, że tu trzeba trochę dobrej woli z obu stron. Trzeba się jakoś do siebie przystosować. Poza tym z małżeństwem to chyba trochę jak z loterią: trzeba mieć nieco szczęścia.

* * *

A najmłodsze pokolenie co ma do powiedzenia? Oto urocza młoda kobieta w niebieskim kapturku jedzie wózeczkiem na spacer w przedwiosennym słońcu.

— Co Pani sądzi o sytuacji międzynarodowej?

Małe łapeczki trzepoczą wesoło.

— A o najnowszych tendencjach młodzieżowej mody?

— Tlu-tlu..

Wyciągnięty paluszek pokazuje słoneczną plamę na kołderce. Ach, więc to o to chodziło. Z wywiadem trzeba będzie poczekać jeszcze parę lat.

Wywiad przeprowadziła
Alina Tomaszewska

C Y D zbuntowany

(Dokończenie ze str. 4)

widowni, gdy tylko tekst każe im nazbyt ekshibicjonistycznie ujawniać uczucia żywe i głębokie, a więc wstydliwe.

„Cyd" Rakowieckiego, zgodnie z duchem dramaturgii klasycznej jest antywidowiskowy i skonwencjonalizowany w kształcie zewnętrznym (hieratyczny ruch rąk u kobiet, wypowiadanie tekstu do widowni, nie do partnerów, oszczędność gestu i rekwizytu): cała uwaga skupia się na podaniu tekstu, prostym a wyrazistym. Jeśli idzie o warstwę treściową, inscenizacja lubelska wydobywa przede wszystkim rzecz o miłości i to, co można by nazwać w „Cydzie" konfliktem pokoleń. Idąc tą drogą, inscenizacja poprzez Wyspiańskiego powraca do Corneille'a, którego tekst daje znacznie więcej argumentów za takim postawieniem sprawy. Inscenizacja lubelska jest realizowana przeciwko Wyspiańskiemu i stąd wewnętrzna sprzeczność spektaklu. Osobiście jestem po stronie inscenizacji: fatalistyczna koncepcja Wyspiańskiego wydaje mi się daleka od współczesnego widzenia świata, a młodopolska poetyka chwilami po prostu nieznośna. Stąd wniosek: mamy polskiego „Cyda" XVII, XVIII i XIX wieku — warto by pomyśleć o „Cydzie" wieku XX. Piękne zadanie dla Pen-Clubu: ogłosić wśród poetów-tłumaczy konkurs na nowy przekład „Cyda".

Ale *ad rem*. Jako się rzekło, spektakl lubelski to benefis młodości, to „Cyd" ujrzany oczyma młodego pokolenia. Jak do takiej koncepcji przystosowali się odtwórcy poszczególnych postaci? Rola Rodryga jest niewątpliwie dużym sukcesem Stanisława Mikulskiego. Zwycięsko przedzierając się przez manieryzmy tekstu, Mikulski zarysował młodego junaka, zapalczywego w miłości i w boju, spełniającego nakaz honoru, ale niezdolnego opanować goryczy i żalu za utraconym szczęściem. Ile ma lat Rodryg u Corneille'a? Podobno 17. U Wyspiańskiego jest niewątpliwie znacznie starszy. W interpretacji Mikulskiego Rodryg to już nie gołowąs, ale człowiek bardzo jeszcze młody — rówieśnik „beat generation". Z wieku — oczywiście scenicznego — najbliższa mu jest Infantka. Wydaje mi się, że Teresa Szmigielówna najpełniej bodajże realizuje zamysł inscenizacji. Jej Infantka jest bardzo młoda, bardzo zakochana, mocno nieszczęśliwa, znacznie wrażliwsza na gładkiego Rodryga niż na sprawy godności i rację stanu. W stosunku do Chimeny, to nie władczyni, to rówieśniczka i rywalka, niezupełnie nawet lojalna (znakomicie rozegrana scena, gdy Infantka namawia Chimenę, by ukarała Rodryga, zostawiając mu życie, ale odbierając miłość...). Muszę się przyznać, że — wbrew opinii Napoleona — Infantka wydawała mi się zawsze dosyć nudna; w interpretacji Szmigielówny jest wzruszająca w swej dziewczęco-książęcej niedoli, prawdziwa, interesująca. Chimenę grają na przemian Teresa Lassota i Danuta Nagórna. Lassota to artystka, którą uroda i typ talentu predystynują do wielkiego, romantycznego repertuaru. Taką też jest jej Chimena, grottgerowska w sylwetce, w koncepcji najbliższa Wyspiańskiemu, w stosunku do innych postaci przedstawienia — najbardziej „dorosła". Nagórna jest Chimeną znacznie „młodszą", ale Lassota dominuje nad nią dojrzałością środków wyrazu i „wnętrzem" dramatycznym, którego nie zastąpi siła głosu ani gwałtowność ruchów. Niewątpliwie obsadzenie roli Chimeny przy „młodzieżowej" koncepcji nie jest sprawą prostą, autentyczna młodość powinna tu iść w parze z dużą skalą i dojrzałością środków wyrazu. A to nie łatwo. Niemałą niespodzianką było dla widowni „odmłodzenie" króla. Tekst, zwłaszcza Corneille'a, sugeruje króla jako wcielenie majestatu, rozsądku, nawet pewnego kunktatorstwa; król, ojciec Infantki, należy do pokolenia Gomeza, jeśli nie Diega. Król Skolimowskiego jest młody, to nieomal rówieśnik Cyda. To już władca absolutny, ale jeszcze nie całkiem pewny swej królewskiej powagi, którą wspiera marsem w głosie i na czole. Pyszną sylwetkę krewkiego i butnego Gomeza z rodu Rohanów, Montmorency'ch, Radziwiłłów i Lubomirskich — dał Włodzimierz Wiszniewski, artysta, którego stały rozwój obserwujemy z prawdziwą satysfakcją. Ryszardowi Kolaszyńskiemu przypadła mniej efektowna przy danej koncepcji, ale ważna i odpowiedzialna rola Diega. Kolaszyński zagrał tę postać z umiarem, prostotą i powagą, godnymi uznania. Reszta postaci w sztuce właściwie pozbawiona jest własnej racji bytu i dobrze świadczy o dyscyplinie zespołu, że odtworzenia ich podjęli się artyści znani nam skądinąd ze swych dużych możliwości. Duch dworskiego „wypada — nie wypada" przemawiał ustami Eleonory — Góreckiej, rozsądną i macierzyńską Elwirą była Dorota Dworzyńska, ofiarnym Sanchem — Marian Rułka, Ariasem — Kazimierz Iwor.

Dekoracje, funkcjonalne i ciekawe w pomyśle, wydają mi się niezupełnie jednolite w stylu. Zwichrzona faktura srebrnej ściany w tle zdaje się swą unowocześnioną barokowością najlepiej odpowiadać duchowi spektaklu. Belki u sufitu są chyba trochę za ciężkie i jednoznacznie nowoczesne, krata — zbyt agresywna a niezbyt stylowa. Kostiumy za to stylowe i pełne smaku, zwłaszcza złocisto-czarny Rodryga, Infantki, Króla, Eleonory. Całości dopełnia ilustracja muzyczna Ryszarda Schreitera — dyskretna i nastrojowa.

Nie jestem pewna, czy „Cyd" lubelski jest „słuszny" czy „niesłuszny", ale na pewno jest — żywy. A to najważniejsze.

Anna Tatarkiewicz

Na zdjęciu: Teresa Lassota (Chimena) i Teresa Szmigielówna (Infantka)

O FRANCISZCE ARNSZTAJNOWEJ

(Dokończenie ze str. 2)

jest estetką w stylu parnasistów Chimery, nie zasklepia się w liniach znanych, dąży do nowych zdobyczy wersyfikacyjnych. Jako człowiek — łączy w sobie poetyckie na świat spojrzenie z ofiarnym, codziennym, cichym trudem dla dobra innych, a przede wszystkim dla Ojczyzny".

Poza poezją liryczną zajmowała się także Arnsztajnowa twórczością dla dzieci, trafiając do nich dzięki cechującej ją w ogóle prostocie i przystępnej formie. Poza wierszami porozrzucanymi po różnych czasopismach, dzieciom dedykowała w 1932 r. tom utworów pt. „Duszki".

Na uwagę zasługują także jej przekłady — zwłaszcza z języka angielskiego (utworów Douglasa Jerrolda, H. C. Wellsa, R. Kiplinga i in.).

Arnsztajnowa pisała także dramaty („Perkun", „Na wyżynach", „W stojącej wodzie"), które grane były na scenach w Lublinie, Lwowie, Łodzi i Krakowie. Pisała też bardzo dużo artykułów, felietonów i recenzji, które do dziś nie zostały pozbierane z licznych czasopism.

Na wielu konkursach literackich, w których poetka brała udział — otrzymała wyróżnienia, a wśród kilku odznaczeń przyznanych Arnsztajnowej znajduje się także Srebrny Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury.

Jakkolwiek w 1934 r. opuściła Lublin na zawsze i przeniosła się do Warszawy, by tu przebywać aż do śmierci w 1943 r., to jednak ciągle wracała w swych wierszach do Ziemi Lubelskiej, którą ukochała nad wszystkie inne. Niestety, po raz ostatni utwory jej wydane zostały w chwili jej wyjazdu z Lublina, tj. 36 lat temu. Nie doczekała się żadnego poważniejszego studium o aspiracjach zarysu monograficznego, nie ma bibliografii jej utworów. Może więc nie od rzeczy będzie upomnieć się na zakończenie o to, by Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza przypomniała chociażby skromnym wyborem wierszy dorobek wybitnej naszej poetki, jedynej w Lublinie przedstawicielki poezji Młodej Polski.

Bibliografia

I. Najważniejsze wydania dzieł Arnsztajnowej:

1. Poezje. Warszawa 1895. 2. Poezje. seria II. Kraków 1889. Drugie wydanie — Warszawa 1911. 3. „Archanioł Jutra", Lublin 1924. 5. „Duszki". Lublin 1932. 6. „Stare Kamienie" (wspólnie z Józefem Czechowiczem). Lublin 1934.

II. Najważniejsze prace o Arnsztajnowej:

1. Araszkiewicz Feliks: „Twórczość literacka Franciszki Arnsztajnowej". (W:) „Refleksy literackie". Lublin 1934, s. 113—121. 2. Czernik Stanisław: „Poeci Lubelszczyzny". „Kamena" 1934, nr 1—2. 3. Gdula Paweł: „Lublin w literaturze współczesnej". Lublin 1937, s. 10—12. 4. Klak Tadeusz: „Bibliografia literacka Lubelszczyzny". Lublin 1959, s. 15. 5. (mat): „Zapomniana poetka Lublina". „Kultura i Życie" 1957, nr 38, 6. Rosiak Roman: „Franciszka Arnsztajnowa w hołdzie Wacławowi Nałkowskiemu. Nieznany autograf lubelskiej poetki. „Kamena" 1958, nr 19, s. 3. 7. Wolski Wacław: „Franciszka Arnsztajnowa". (W:) „Wzloty na Parnas". Warszawa 1902, s. 124—132. 8. Zalewski Ludwik: „Franciszka Arnsztajnowa". (W:) „Antologia współczesnych poetów lubelskich". Lublin 1939, s. 171—172.

Roman Rosiak

mniejsza niż tych, którzy chcą ochronić się przed niepożądanym potomstwem. Poradnia serdecznie zajmuje się jednymi i drugimi.

Dalekosiężny, ambitny program TSM, zawarty w rezolucji podjętej na ogólnokrajowym Zjeździe, jest bardzo różnorodny. Jeden z jego punktów stanowi dążenie do podniesienia ogólnej kultury życia rodzinnego, wychowania seksualnego młodzieży już od ławy szkolnej (oczywiście w formach starannie przystosowanych do specyfiki wieku), objęcia wychowaniem również młodych wstępujących w związki małżeńskie, wprowadzenia przedślubnych badań i konsultacji, podniesienia kultury seksualnej w naszym kraju do poziomu odpowiadającego osiągnięciom współczesnej medycyny i psychologii. Słuszna ze wszech miar idea świadomego macierzyństwa, o ogromnej wadze i znaczeniu społecznym, przyciąga i niewątpliwie będzie przyciągać coraz szerszy krąg ludzi pragnących ją realizować i upowszechniać. W szeregach działaczy TSM powinno znaleźć się przede wszystkim jak najwięcej kobiet, bo to o szczęście kobiety i jej dziecka toczy się żarliwą, zdecydowaną walkę.

Stanisława Gogołowska

Widzi mi się

Rozważania o kobiecie

„My rządzim światem, a nami kobiety". Tak orzekł nawet sam biskup. Postępowy. Z tych ówczesnych księży patriotów. Powiedział: kobiety. Nazwał rzecz po imieniu. I nie obraził ich wcale. Przeciwnie: połechtał ich dumę.

Ale nie tak to było dawniej. W biblii u Wujka „Bóg stworzył mężczyznę i białogłowę". I „wąż rzekł do niewiasty". Nie do kobiety. I słowo „niewiasta" do dziś pada w kazaniach z ambony.

Bo etymologiczni antenaci kobiety nie są zbyt wytworni. Wywodzi się ona albo z kobyły, albo z kobu — chlewu. I jeszcze przed trzema wiekami był to wyraz obelżywy. Choć skądinąd może lepszy od tej niewiasty czyli — obcej. Bo kobyła, na której szlachcic mógł się przejechać do sąsiadów, i kob, który mu dostarczał tłustej szynki na Wielkanoc, były mu raczej bliskie.

Ale pomału kobieta zaczęła awansować. Po biskupie nauczyciel kowieński nazwał ją w świętym oburzeniu „puchem marnym" i „wietrzną istotą". Epitety wprawdzie deminutywne, ale jednak to było coś, z czym trzeba się było liczyć.

Tylko mimo wszystko — dziwna rzecz: ten wyraz do poezji jakoś nie pasował. Tetmajerowski „pierwszy ten nieświadomy pociąg do kobiety" trąci fizjologią. A rydlowski „centaur", który „kobietę w objęciu zuchwałym niesie" — to znowu mitologia. Poeci woleli raczej eufemizmy: damy, dziewczęta, dziewczyny, dziewice, panie, panienki, kochanki, nawet anioły.

I do mowy potocznej ten wyraz nie bardzo przenika. Nie określamy zazwyczaj towarzyszki naszego życia jako „mojej kobiety", wolimy powiedzieć: moja pani. W uniesieniu miłosnym, jeżeli w ogóle mówimy wtedy coś kobiecie, nie szepcemy jej czule: kobieto, lecz raczej operujemy przymiotnikami: miła, słodka, złota, rozkoszna, najdroższa, a w uniesieniu innego rodzaju postarzamy ją złośliwie nazywając babą. Choć młodzież to dzisiaj spieszcza i „babka" w jej języku brzmi całkiem pochlebnie.

Za to w życiu politycznym i społecznym kobieta zrobiła karierę. No bo „równouprawnienie dam", „prawo wyborcze białych głów", „liga niewiast" — ładnie by to wyglądało!

Chociaż kto wie: „dzień babek"... Ach, ty zbereźniku!

X. Rovay

NOTY

STYCZNIOWY NR „TWÓRCZOŚCI" przedstawia się bardzo interesująco. Przede wszystkim zwracają w nim uwagę okruchy pamiętnika czternastoletniego chłopca żydowskiego — Dawidka Rubinowicza, jeszcze jeden wstrząsający dokument historyczny z „czasów pogardy", oskarżenie zza grobu nie mniej wymowne od tego, które skreśliła Anna Frank (pamiętnik odnaleźli pp. Artemiusz i Helena Wołczykowie, a do druku podała go, poprzedziwszy wstępem, Maria Jarochowska). Poza tym znajdziemy w tym numerze trzy interesujące pozycje: artykuł znanego czytelnikom przedwojennej „Kameny" poety i teoretyka awangardowego Jana Brzękowskiego: „Twórczość Lautréamonta i kilka reminiscencyj z romantyzmu polskiego" (dowiadujemy się tu o nagłej ewolucji, którą w swych poglądach na poezję przeszedł autor „Pieśni Maldorora" w ciągu jednego(!) roku, o jego teoretycznych rozważaniach zawartych w „Poésies" i za-

(Dokończenie na str. 8)

Prawie baedeker lubelski

MIROSŁAW DERECKI

Część I — LOKALE

„Nie wszystko prawda"

Strasznie dużo jest kawiarń w Lublinie. Dziesięć. Nie jesteśmy gorsi od Warszawy. Nie. U nas też każda z nich posiada odrębną, specyficzną atmosferę, swoich gości, zwyczaje i swoją specyficzną kawę.

Nie tylko stolica!

Niektóre kawiarnie mają nawet tradycje! Regionalna, Lublinianka i Ratuszowa...

Kawiarnia Regionalna

Tu można wypić kawę za dwa pięćdziesiąt, a nawet siedzieć przez kilka godzin nic nie zamawiając. Kelnerki są dobre. „Regionalna" posiada: tradycje, trzy sale i tzw. trzy zmiany gości...

Tradycje: przed wojną „Semadeni" albo popularnie „U emerytów" Pewnie tylko emeryci przychodzili. Ja nie pamiętam.

Trzy sale: pseudo-ludowe. W pierwszej przesiadują resztki emerytów, w drugiej, maleńkiej — znajomi kelnerek. Prawdziwa „Regionalna" to dopiero trzecia, największa sala. Tutaj zbiera się ciou towarzystwa.

Trzy zmiany gości:

Kawiarnię otwierają już o godzinie siódmej rano (śniadania wiedeńskie) i wtedy pojawia się pierwsza zmiana. Na śniadanie przychodzą mieszkańcy Hotelu Europa, architekci z pobliskiego Biura Projektów, prywatna inicjatywa i... studenci po otrzymaniu stypendium. Około godziny dziewiątej zjada parówkę z musztardą i bułeczkę Dyrektor Pracowni Sztuk Plastycznych Pan Awicz.

O godzinie dwunastej — miejsca przy stolikach zajmuje Druga Zmiana. Jest to bez wątpienia grupa osób nadająca kawiarni charakter i styl. Wszyscy świetnie znają się, pozostają na zażyłej stopie z personelem (panno Basiu, panno Jadziu) i zażarcie dyskutują. Kto, gdzie, z kim. Są to przeważnie studenci, młodzi, od bardzo dawna obiecujący plastycy i literaci, a także ich satelici. Tworzą świetnie zgrane towarzystwo, jednak troszkę już sobą znudzone. Charakteryzują się wypalaniem jak największych ilości papierosów i najskromniejszymi zamówieniami.

Około godziny siódmej wieczorem przychodzi trzecia, najmniej interesująca część społeczeństwa kawiarnianego. Zwyczajni pożeracze ciastek i wątpliwej jakości melomani, z nabożeństwem słuchający produkcji tercetu muzycznego. Składa się on z trzech smutnych i znudzonych starszych panów...

Godne pochwały: Grupę osób zamawiającą napój cytrynowy i pięć słomek, traktuje się tak samo uprzejmie jak zamawiających pięć butelek wermutu.

Interesujące: Kiedyś kelnerki nosiły barwne, lubelskie stroje. W okresie, kiedy w kawiarni przesiadywali tłumnie egzystencjaliści lubelscy, zmieniły je na czarne sukienki a we fryzurach wprowadziły lekki nieład.

Co już pozostało.

Ogólna charakterystyka „Regionalnej"

Bezpośredniość i prostota. Koleżeńskość i słaba kawa. Energiczna kierowniczka i przyjemny personel. Ogólnie przyjęty zwyczaj siedzenia w płaszczach, albo wieszania ich na poręczy krzesełka zamiast w szatni.

Wiadomość z ostatniej chwili!

W „Regionalnej" żałoba. Jan Z. i Nowa Awangarda przenieśli się na stałe do Klubu MPiK, zagarniając ze sobą najbardziej ekscentryczne dziewczęta!

Część II — LUDZIE

Jan Z. i Nowa Awangarda

„Wszystko nieprawda"

Teraz siedzą w „empiku". Codziennie zbierają się tam w południe. Dyskutują z ładnymi dziewczętami, albo konspirują...! Jak się chce do nich przysiąść, trzeba znać hasło:

„Cybernetyka i trufle"...

Jan Z. i Nowa Awangarda składają się z trzech osób. Dwóch praktyków i jednego teoretyka-intelektualisty.

a. Praktycy: 1) Jasio Z. — artysta-malarz, 2) Włodzio B. — artysta-malarz cybernetyk.

b. Teoretyk intelektualista: 1) Pan Jerzy L. — cybernetyk-ekscentrysta.

Jasio teraz dużo maluje. Ciskaniem. Robi to tak: najpierw rozkłada farby w rządku, jedna obok drugiej. Później liczy; „...na kogo wypadnie, na tego bęc!" Ten „bęc" to jest kolor, który mu się odpowiednio kojarzy. A jak nikt nie patrzy, strzela do obrazów z procy... Ten Dawid!

A Włodzio ciągle się tylko bawi w wynalazki. Ostatnio wynalazł nowy obraz cybernetyczny. Ten obraz nie tylko świeci, — on PEŁZA! Jak przyjdą goście, sam otwiera drzwi i mówi „dzień dobry". A później wyjmuje sobie z brzucha parówki i podaje na gorąco...

Włodzio zamierza zrobić teraz dziesięć takich obrazów i sprzedać KZG. Twierdzi, że mogłyby roznosić zakąski na dworcach kolejowych i piwo, i KZG w ramach obniżki kosztów własnych zyskałyby na tym około trzech milionów złotych. I mówi jeszcze, że taki obraz to już prawie połowa mózgu intelektualisty. Słowo honoru! Tylko mu kafli brakuje. Bo te obrazy muszą być koniecznie z kafli...

Tytus przysłał Panu L. z Paryża małą, składaną kadzielnicę—zabawkę. Pan Jurek nareszcie ma świetne zajęcie. Rzuca na węgle różne sproszkowane zdania... i dymi...

A mnie raz w tajemnicy opowiadał, że „Struktury" zmieniają nazwę. Będą się teraz nazywały „Młody Cybernetyk", a co miesiąc będzie wychodził specjalny dodatek dla najmłodszych.

Godne pochwały: Nowa Awangarda przeczytała już dwie książeczki popularno-naukowe: „Wstęp do cybernetyki" i „Cuda cybernetyki".

Interesujące: Oni chcą osiągnąć jakiś cel...

Wiadomość z ostatniej chwili!

W mieście krąży plotka, że prawdziwy Włodzio w ogóle nie istnieje. Jest to tylko amerykański Robot, którego w skrzynce przeszmuglowali z Paryża.

(Ciąg dalszy nastąpi albo nie nastąpi. Red.)

NASZ EKRAN

James Dean i choroba wieku

Żył dwadzieścia cztery lata, grał w trzech filmach, w trakcie kręcenia ostatniego z nich zginął przy kierownicy samochodu, prowadzonego z szybkością 170 km na godzinę. Grób jego tonie w kwiatach, miliony młodych Amerykanek i Amerykanów należą do klubów jego imienia, w hallu Uniwersytetu w Princeton medalion z podobizną Deana widnieje obok popiersi Beethovena i Lincolna.

Trzy filmy, w których wystąpił, „Na wschód od Edenu", „Buntownik bez powodu" i „Gigant", znaczą przede wszystkim jako dokumenty, mówiące o obliczu współczesnej młodzieży, która w postaciach kreowanych przez Deana znalazła prawdę o sobie. „Na wschód od Edenu" jest pierwszym z tych filmów i nawet bez kontekstu dwu pozostałych — dostatecznie wymownym. Nie ważne, że film jest ekranizacją wybitnej powieści Steinbecka, że akcja rozgrywa się w roku 1917, że treść jest transpozycją przypowieści o Kainie i Ablu. Ważne, że Dean w stworzonej przez siebie postaci Kaleba Traska ukazał typ wrażliwości oraz sytuacje psychiczne znamienne dla współczesnej młodzieży. Jeśli nie dla całej młodzieży, to w każdym razie dla tej części, która nadaje ton i tworzy model „bohatera naszych czasów".

Kaleb to chłopak skryty i wybuchowy, udręczony i dręczący innych, szarpany sprzecznymi odruchami, spragniony uczucia, a zarazem wstydzący się własnej uczuciowości, odrzucający złudzenia, a przy tym cierpiący nad ich utratą. To człowiek wyobcowany z otoczenia, który nie mogąc znaleźć drogi powrotnej, wyładowuje swą gorycz w aktach absurdalnego buntu.

Ta postawa „buntu bez powodu", ma aż nadto powodów w charakterze naszej epoki i ma także analogie w epokach minionych. W drugim pokoleniu romantyków bardzo podobne zjawisko psychiczne zwano „chorobą wieku". Najklasyczniejszym jej przypadkiem w historii kultury było dzieło i życie Musseta, udręczonego i cynicznego „dziecięcia wieku". Kryzys autorytetów i kryzys ideałów, następujący z reguły w epokach przełomów, wydaje się istotniejszą przesłanką tej postawy, niż wymieniane także — jeśli idzie o nasze dni — takie przyczyny, jak technizacja życia lub problem zapełnienia mnożącego się wolnego czasu. Najstaranniej zapełniony czas staje się bowiem czasem pustym, jeśli nie ma się wiary w sens wszelkich poczynań.

Rzecz ciekawa, że sensu tego zarówno młodzi rówieśnicy Musseta, jak rówieśnicy Jamesa Deana zdają się doszukiwać w tym samym: w miłości. Świadczy o tym kierunek francuskiej „nowej fali", świadczy oglądany niedawno w Lublinie „Smak miodu", świadczą filmy z Jamesem Deanem. Jak pisaliśmy przy okazji „Smaku miodu", w wypowiedziach młodego pokolenia zdaje się zarysowywać coraz wyraźniej swoisty kult miłości — można by ją nazwać miłością bez złudzeń — a także, co może bardziej nieoczekiwane, tęsknota do „filisterskiego" szczęścia rodzinnego. Podstawowym konfliktem wszystkich trzech filmów z Deanem jest konflikt z rodzicami i bliskimi, którzy nie potrafią stworzyć młodemu chłopcu odpowiedniego klimatu uczuciowego lub też nie stoją na wysokości jego ideałów.

I dlatego nie jestem pewna, czy film „Na wschód od Edenu" powinna oglądać młodzież, ale na pewno powinni oglądać go — rodzice. Oglądnąć i przemyśleć.

Tajoj

ZMIANY w Związku Plastyków

Na prośbę Zarządu lubelskiego Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków Redakcja „Kameny" zamieszcza następującą wiadomość:

Zgodnie z decyzją Nadzwyczajnego Walnego Zebrania członków Związku Polskich Artystów Plastyków Okręgu Lubelskiego, które odbyło się w dniu 14 lutego 1960 r. z udziałem przedstawicieli władz miejscowych i Zarządu Głównego ZPAP, Zarząd ukonstytuował się w następującym składzie: Jarosław Łukawski — prezes, Eugeniusz Pol — wiceprezes, Eugeniusz Baranowski — I skarbnik, Stefan Sarnecki — II skarbnik. Krzysztof Kurzątkowski został dokooptowany jako sekretarz.

Jednocześnie Zarząd, zgodnie z wnioskiem Nadzwyczajnego Walnego Zebrania, postanowił odwołać ob. Władysława Filipiaka ze wszystkich funkcji zajmowanych w Związku i pełnionych z ramienia Okręgu w różnych instytucjach.

NOTY

(Dokończenie ze str. 7)

interesowaniu twórczością Krasińskiego i swoiście pojmowanego Mickiewicza, studium Seweryna Pollaka o Leonardzie Podhorskim-Okołowie (pierwsza próba przedstawienia oblicza zmarłego przed dwoma laty poety, miłośnika i tłumacza poezji rosyjskiej, znawcy Mickiewicza i teoretyka wersyfikacji) oraz pracę Michała Głowińskiego „Drwiące requiem dla historii", w której autor przypomina niesłusznie zapomnianego twórcę „Wesela hrabiego Orgaza" — Romana Jaworskiego.

CARYL CHESSMAN od 12 lat przebywa w celi śmierci wciąż czując nad sobą nóż gilotyny (przepraszam, przed sobą — „humanitarną" komorę gazową). A jeśli obecnie gubernator Kalifornii znowu odroczył wykonanie wyroku na 60 dni, to postąpił tak nie tyle ze względu na oburzenie opinii publicznej, ile w obawie, by stracenie Chessmana nie odbiło się ujemnie na podróży prez. Eisenhowera po państwach południowo-amerykańskich, gdzie niedawno odbywały się liczne manifestacje, podczas których domagano się ułaskawienia skazańca. Uczciwemu człowiekowi, który nie rozumie kruczków prawnych i który nie zastanawia się nad prestiżem kongresu stanowego, gubernatora Browna czy samego prezydenta, wydaje się, że to, co wycierpiał ten człowiek, przez długie lata każdej chwili oczekując śmierci, mogłoby już odkupić najgorsze zbrodnie. Ale nie! Stany Zjednoczone mają pod tym względem niechlubną tradycję, dość przypomnieć sprawę Sacca i Vanzettiego (abstrahuję tu od różnicy między przestępstwem kryminalnym a politycznym, które zresztą w stosunku do obu Włochów było zmyślone). W Związku Radzieckim wymiar kary najwyższej od lat już nie istnieje, w Wielkiej Brytanii stosuje się go tylko w wypadku zamordowania policjanta, w Kanadzie parlament zastanawia się obecnie nad zniesieniem kary śmierci. Tym większe więc zdziwienie wywołuje zamieszczony w n-rze 8 „Życia Literackiego" artykuł Jana Pawła Gawlika, w którym autor wstydliwie kłucząc, cytując „piękne słowa" Camusa skierowane przeciw wymiarowi kary najwyższej, „uważając zniesienie kary śmierci w ZSRR za jedno z piękniejszych osiągnięć socjalizmu", wyobrażając sobie „całą tę rzeczywistość nadziei i grozy, jaka łączy się z najwyższą sankcją i rozumiejąc jej odrażającą istotę", zdając sobie sprawę, że wyrok śmierci „niszcząc owoce zła — omija jego korzenie", — parokrotnie powtarza „a jednak", „a jednak" i uważając, że dzisiaj „sąd przestał być środkiem preponderancji, stał się natomiast w daleko większym stopniu reprezentantem powszechnego poczucia prawa", a „społeczeństwo czuje się zagrożone i społeczeństwo żąda radykalnej obrony", — wypowiada się ostatecznie za głosem „opinii", która „godzi się na śmierć zbrodniarzy". To Gawlikowi wolno, ale dodaje jeszcze: „godzi się na nią każdy z nas, bo żyruje jak gdyby wyrok sądu". Hola, kol. Gawlik! Kto pana upoważnił do przemawiania w imieniu wszystkich?! Ja na karę śmierci nie godzę się absolutnie i nikomu nie daję żyra w sprawie rozporządzania życiem ludzkim.

-kaj-

Dwutygodnik literacki „Kamena" • Redaguje Kolegium • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1-c • Telefon: 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu" zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu". Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje P. K. W Z „Ruch", Warszawa, ul. Wilcza 46, Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch" Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa — Unicka 4.

Zam. 777. 19.II.1960. S-3.